Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 7 marca 1937 r.* Nr. 10



*
* *

Minie żałość i tęsknota...
Niechaj zima nas nie smuci.
Wróci pora szczęścia złota,
minie żałość i tęsknota...
Wróci pora szczęścia złota,
wróci wiosna, radość wróci...
Minie żałość i tęsknota...
Niechaj zima nas nie smuci...

Wiosna po zimie nastanie,
jako po nocy dzień złoty.
Wróci szczęście i kochanie,
wiosna po zimie nastanie...
Wróci szczęście i kochanie,
rozebrzmią ptasząt szczebioty...
Wiosna po zimie nastanie,
jako po nocy dzień złoty...

(Julian Ejsmond — „Poeta śpiewa".)

WOJCIECH HOLM

22)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— A czy to ja noszę taką sumę przy sobie w kieszeni — krzyknął baron oburzony — mam tu kilka reńskich, weź je na zadatek. Nie mogłem przecież wiedzieć, że spełniłeś moje zlecenie bo dość długo z tym zwlekałaś, a pieniądze za to dostaniesz już w swoim czasie.

W swoim czasie? — drwił sobie Alojzy — nie rozumiem tego. Pan baron musi mi pewien termin wyznaczyć! Oddam ci te pieniądze, skoro tylko będę rozporządzał tak znaczną sumą bo czego się nie ma, tego też dać nie można!

Później mógłby pan baron zawsze utrzymywać, że niema — mruknął Alojzy — muszę się więc przeciwko temu zabezpieczyć. Teraz znów mam obiecanych 1000 zł za dostawienie kasety. Ale otwarcie mówię, naprzód muszę mieć pieniądze, a później postaram się o kasetę.

Mówisz tak, jak gdybyś nie znał zwyczaju — rzekł baron rozwścieklony — w całym świecie jest zasada: Najpierw towar, a później pieniądze! W tym razie kaseta jest towarem. Daj mi kasetę towarzyszu, a tysiączka jest twoja!

— Nie, jaśnie panie, na to się nie mogę zgodzić — zawołał — niech mi pan da na rękę 1000 reńskich, a przyrzekam dostawić panu nazajutrz kasetę.

Ty mi nie ufasz? — spytał Egon gniewnie.

I własnemu bratu bym nie ufał, gdybym go miał — zapewniał kasztelan z cyniczną otwartością. — Nie daremnie żyłem przez lat 30! Wszyscy ludzie starają się o swą własną korzyść, a kto im zbyt ufa, ten źle na tym wychodzi.

Przyjdź jutro po pieniądze — rzekł baron kwaśno.

A proszę pana barona, czy to nie byłoby lepiej, gdybym nie potrzebował przyjeżdżać do Königswalden? — zapytał kasztelan. — Cała służba łamała by sobie nad tym głowę, po co ja tam przyszedłem. Im mniej nas razem widzą — rzekł ostrożnie — tym lepiej dla nas obu.

— Nie — zawołał Egon gwałtownie — za daleko się posuwasz, dziś sprowadzasz mnie do siebie, jak lokaja i jutro chcesz znowu żebym przyjeżdżał? Ostatecznie może mam co dzień jeździć tu i tam?

— Jak trzeba, to trzeba — odrzekł Alojzy bezczelnie.

— Ale to twój interes, taki sam jak mój — przekonywał Egon niechętnie.

— No, niezupełnie taki sam — mruczał Alojzy — a w porównaniu z tym, czego się żąda ode mnie, dostaję za mało.

— A możebyś chciał dostać cały Königswalden, Wildenstein, Petryków, Priensdorf i Willshagen? — zawołał Egon z gniewem — może ci to wszystko odstąpić?



Model sukni koronacyjnej, którą wszystkie arystokratki, podczas uroczystości koronacyjnych angielskiej pary, zobowiązane są nosić.

— A może i hrabiankę Dornbruch pan baron i doda? — spytał zuchwale Alojzy.

Oburzony tym zuchwalstwem Egon podniósł szpicrutę i chciał nią uderzyć Alojzego, ale ten odskoczył zręcznie na bok.

— Takie żarty odłóż na bok, towarzyszu miły — rzekł bezczelnie — bić się nie pozwolę.

— Jeżeli mi się jeszcze raz odważysz wymienić nazwisko hrabianki, odpokutujesz — wołał baron nie posiadając się z gniewu.

— Cóżem zrobił, miły Boże? — pytał Alojzy niewinnie — spytałem się tylko. Pan baron co chwilę nazywa mnie towarzyszem, a mnie nie wolno nawet pożartować? Czy dostanę jutro tych tysiąc reńskich?

— Nie — odpowiedział baron wściekły — jeżeli chcesz, możesz sobie przyjść po nie. Ale to ci powiadam, jeżeli mi nie przyniesiesz kasetki, to pożałujesz!

Ściągnął konia batem i popędził.

Alojzy patrzył za nim z uśmiechem.

— Byłbym głupi, gdybym cię słuchał — szepnął — musiałbym zwariować, kasetkę będę miał, ale zatrzymam ją sobie. Panu baronowi damy spokojnie inną. Ś. p. matka miała podobny sprzęt, który teraz stoi na strychu; nie wiedziała biedaczka, że to mi przyniesie tysiąc reńskich.

Był w świetnym humorze.

Zacierając ręce, zapalił w kuchni latarkę i poszedł na strych.

Tam, między różnymi starymi gratami, sprzętami połamanymi i skrzyniami, znalazł wreszcie starożytnie wyglądającą kasetkę.

Zaniósł ją na dół, oczyścił z kurzu i pajęczyny i patrzał na nią z zadowoleniem.

— Właśnie warta 1000 reńskich — śmiał się — ale jak ja dostanę tę prawdziwą, to pytanie? Mam ciężki krok, podkraść się pod leśniczówkę nie mogę, choćbym i zdjął buty. A jak mnie złapią, niczym się już nie wykręcę i zamkną mnie jako złodzieja.

Kogoś trzeba posłać.

Namyślał się.

Po chwili znalazł zdaje się w pamięci odpowiedniego kompana.

— Ignacy — pomyślał — przyniesie mi żywność, to mu powiem.

Cieszył się, że oszuka znowu barona.

— Jak się zaraz zapalił do tego — szeptał sobie — jak się cieszył śmiercią hrabiego Wernera. Nie bój się, baronku, ten hrabia długo może jeszcze żyć. Boję się, żeby tam nie zamarzł w tej budzie, muszę mu zgotować gorącej kawy i sam się nią uraczę.

Gwiżdżąc, zapalił pod kuchnią i wrzucił tyle chrustu na ogień, jakby miał gotować przynajmniej cały kocioł kawy.

Nic go to i tak nie kosztowało.

Niezgrabnie przygotowywał śniadanie. Wziął z szafy wędliny, cukier, ser, masło i chleb i gdy kawa była gotowa, zaczął z apetytem pożywiać się.

Potem wziął kosz pełen żywności i gorący imbryk z kawą i powędrował ukrytą ścieżką do chatki nad wodospadem.

Spod kamienia wydobył klucz, otworzył drzwi i wszedł.

Okna tu nie było, światło wpadało skąpo przez szpary w dachu, więc było ciemno prawie.

Ale ten kłusownik i złodziej widział doskonale i pociemku.

Werner spał tak spokojnie, jakby na jedwabnej pościeli.

— Żal mi go trochę — myślał Alojzy.

Zbudził go dotknięciem ręki, gdyż wszelkie słowa zagłuszał huk wodospadu.

Werner zbudził się.

Alojzy podał mu kawę, którą hrabia wziął nieskrępowaną lewą ręką i pił dużymi haustami.

Alojzy ukroił tymczasem kilka kromek chleba, niezgrabnie posmarował je masłem, serem i wędlinami i położył na słomę; potem nie zważając na błagalne ruchy Wernera, wyszedł.

Na próżno usiłował Werner uwolnić się z więzów.

Łańcuch, którym był przykuty, przytwierdzały mocne skoble do belek, z których chata była zbudowana.

Drzewo było twarde, a on osłabiony chorobą i długim więzieniem nie miał sił, by powyciągać skoble gołą ręką.

Zmęczony daremnymi wysiłkami zasnął. Zimne, lecz czyste powietrze, było rajem w porównaniu z dusznością piwnicy, gdzie przebywał dotychczas.

Zbudziwszy się, z zachwytem zauważył kilka zabłąkanych promieni słonecznych i mysz, która wybiegłszy gdzieś z kąta, patrzyła na niego zatrwożonymi, ale mądrymi oczyma.

Rzucił jej okruszynę chleba. Myszka wzięła to za wrogi pocisk i uciekła. Wkrótce jednak pojawiła się znowu, obwąchała chleb z wszystkich stron i zaczęła gryźć.

Uczta smakowała jej.

Za chwilę najdrobniejsza okruszyna znikła w jej pyszczku i myszka z oczekiwaniem spoglądała na współtowarzysza mieszkania.

Werner lewą ręką rzucił jej znowu kawałek chleba.

Jedyne to żywe stworzenie rozweselało go w tym zupełnym osamotnieniu. Teraz ta myszka bawiła go więcej, niż niegdyś rozum uczonych ludzi, albo dowcipnych kobiet.

Równocześnie pobożna myśl o Bogu i pokorne zaufanie w sprawiedliwość Jego wróciły mu chwilowo spokój.

— Przyjdzie dzień mego wyzwolenia — szeptał i cieszył się zmianą więzienia myśląc znowu:

— W każdym razie łatwiej będzie wydostać się stąd, niż z piwnicy. Zresztą być może, że jakiś turysta, który zabłądzi, będzie tu szukał schronienia i uwolni go.

Poza tym może przecież ciągłymi wysiłkami dokazać tego, że wyciągnie łańcuch z bełki.

Jeżeli to się uda, wszystko inne pójdzie o wiele łatwiej.

Myśli podobne dodawały mu odwagi do życia i wracały siły.

Postanowił dobrze się odżywiać, by nabrać sił i gdy Alojzy wyszedł, zjadł wszystkie przyniesione prowianty, potem leżąc, słuchał szumu wodospadu. Bogu dzięki!

Tu przynajmniej nie takie egipskie ciemności i nie taka straszliwa cisza, jak tam.

Ukochana jego Sylwia, która go wszędzie szukała, mogła dotrzeć i tu.

Ach! gdyby jej mógł posłać wieść o sobie!

Westchnienie rozpaczy wyrwało mu się z piersi.

Wnet jednak znowu ożywiła go nadzieja.

Zabrał się znowu do wyciągania łańcucha ze ściany.

Nie trwało to jednak długo, gdyż weszła Ilona.

Udał, że siedzi spokojnie.

Cyganka rozpaliła wesoły ogień, który rozlewał po chacie miłe światło i ciepło. Przyniosła poduszkę i kołdrę wełnianą na łoże Wernera. Przyniosła mu dzban świeżej wody i wysypała obok niego woreczek laskowych orzechów.

Przy tym uśmiechała się do niego, on jednak ignorował jej uprzejmość zupełnie, a gdy usiadła naprzeciw niego, zamknął oczy.

Osłabiony bardzo, wkrótce zasnął. Tak upływała godzina za godziną. Tymczasem kasztelan niespokojnie oczekiwał powrotu Ignacego z miasta.

Wreszcie zobaczył go z daleka i zaczął mu dawać znaki, aby szedł prędzej.

— Jeżeli mnie jeszcze chcecie gdzieś posłać — zawołał na to Ignacy — to musicie mi za to zapłacić osobno!

— Ależ dobrze, dobrze! — odrzekł Alojzy — z góry ci nawet zapłacę. Łap!

Rzucił mu guldena, który Ignacy złapał.

— To na początek — rzekł mu życzliwie — jeżeli się dobrze wywiążesz z zadania, dostaniesz więcej. Zresztą, uda ci się wszystko, jesteś przecież dorosłym mężczyzną, wąs ci się już sypie!

— Tak jest, naturalnie! — odpowiedział zadowolony Ignac.



Król belgijski Leopold zwiedzał w ostatnich dniach dzielnice węglowe koło Mons. Na zdjęciu widzimy króla w rozmowie z pewną rodziną górniczą w Quaregnon, koło Mons.

Alojzy musiał się odwrócić, aby ukryć śmiech.

— Powinieneś sobie sprawić brzytwę — mówił poważnie — a kup sobie dobrą, bo tania rani twarz.

— Tak jest, kupię sobie za tego guldena. A teraz mów, gdzie mnie chciałeś posłać?

— Niedaleko, a za drogę dostaniesz jeszcze cztery guldeny.

— O! coś w tym musi być, żeś taki hojny!

— Nic wielkiego; masz mi tylko przynieść z leśniczówki małą kasetkę, tak, żeby tam nikt cię na tym nie złapał.

— Ukraść? A gdzie ona stoi? Kiedy ci ona jest potrzebna? Ile mam czasu na to? Jak wygląda?

— Nie wiem gdzie stoi, ani jak wygląda, ale potrzebna mi jest bardzo i to jak najprędzej! — odpowiedział kasztelan.

Cygan namyślał się.

— Diabeł chyba wie, jak to zrobić! — rzekł niezadowolony — nie wiesz gdzie jest, jak wygląda i kradnij! To tak, jakbyś chciał tyłem włazić na drzewo!

— No, no! — uspokajał Alojzy — nie rób z tego takich wielkich rzeczy. Wyśledź naprzód, gdzie ona stoi, potem w odpowiedniej chwili zakradniesz się i weźmiesz ją. Ciężka nie jest.

— A jeżeli tam są dwie takie? — wypytywał się Ignacy.

— E, wątpię. A jeżeli tak, to musisz wziąć obie, ukryć je opodal domu w krzakach i przynosić po jednej.

Dobrze ci gadać! to wszystko za te marne cztery guldeny. Ten stary Marek nie zna żartów, jak mnie przychwyci, to mi nie podaruje! Za gęś albo kurę, jak ukradnę, nic mi nie robi, bo wie, że ja muszę żyć, ale jak mnie przyłapie w samej leśniczówce na gorącym uczynku, to będzie gorzej.

— Nie bój się! nie daj się złapać, to nic ci nie zrobi! Bądź mądry, pokaż, że jesteś dorosły.

— Ale musisz jeszcze coś dołożyć.

— No, już tam nie będę się targował jeszcze o kilka guldenów, jak mi kasetkę przyniesiesz. Czekaj, dam ci kołdrę do zawinięcia.

Zaniósł do kuchni żywność i wrócił z kołdrą.

Młody cygan koniecznie chciał sobie zarobić kilka guldenów i to bohaterskim czynem.

Pospiesznie więc opuścił Alojzego, który uśmiechał się ironicznie, myśląc, że posyła Ignacego, jak pudla, wszędzie gdzie chce.

Gwiżdżąc, ubrał się w najlepsze ubranie i wybrał się do Königswalden, aby odebrać 1000 reńskich obiecanych mu.

Dam Ignacemu najwyżej 10 reńskich — pomyślał — a baron także mógł mieć taniej. Tymczasem zapłaci 1000, a nie będzie jej miał.

Z triumfem uśmiechał się, gdy wchodził do zamku w Königswalden.

— Coś się stało! Alojzy się śmieje. To niesłychane — zdziwiła się Julka, widząc go.

— Jak się zły człowiek śmieje, to z pewnością jakiemuś dobremu coś się złego stało — odpowiedziała Klara.

Na to zbliżył się Alojzy i grubym głosem zapytał o barona.

— Śpi jeszcze — odpowiedziała Julia.

— Co, o trzeciej po południu jeszcze śpi? Czy jest chory?

— Nie, lecz nad ranem dopiero wrócił do domu.

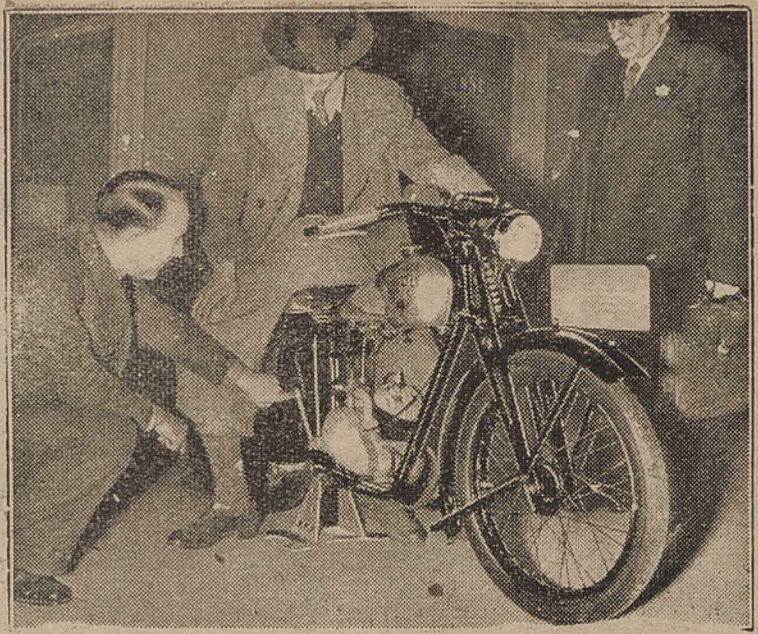
— Poczekam — rzekł Alojzy — nie spieszy mi się, dzieci mi nie krzyczą w domu.

Obojętnie, ku wielkiemu niezadowoleniu służby, usiadł między nimi i czekał, aż mu powiedziano, że pan baron wstał.

Egon przyjął go milcząco i z mrukiem wręczył mu pieniądze.

— Dziękuję pięknie panu baronowi. Jutro przyniosę kasetkę.

— Nie waż mi się! — wrzasnął Egon — ośle jeden! Nie chcę aby wszyscy widzieli, żeś mi przyniósł kasetkę!



Na międzynarodowej wystawie samochodów i motocykli w Berlinie, przedstawiono szereg interesujących nowości z tej dziedziny. Szczególne zainteresowanie wzbudził motocykl NSU. — Ponny o pojemności cylindra 100 cm kubicznych i trzytaktowym mechanizmie.

— Więc jak mam właściwie dogodzić baronowi? — spytał Alojzy, niby obrażony. — Wczoraj gniewał się pan, żem pana prosił do siebie, dziś gniewa się pan, że sam przychodzę do pana. Co właściwie mam zrobić, aby panu dogodzić?

— Stulić pysk i wynosić się! — zawołał Egon — a już ja sam trafię do Felseg, jak mi będzie trzeba.

— Do usług pana barona — odrzekł z udaną pokorą Alojzy i wyszedł, klnąc w duchu.

— Dostaniesz ty za to — myślał!

ROZDZIAŁ LXXV.

Stara dębowa kasetka

Ignac był wzruszony, jak młody giermek, który ma być pasowany na rycerza.

Widoki na samodzielną kradzież wzmagały jego poczucie godności osobistej — nie widział w tym, co zamierzał, nic złego.

Nie miał poczucia sprawiedliwości, nie budziły się w nim więc żadne skrupuły.

Zbliżywszy się do leśniczówki zajrzał przez szpary w parkanie do ogrodu.

Siedziała tam, otulona w ciepły koc, pani Magdalena, a Sylwia podawała jej piękne winogrona.

— Aha! dobrze, że one tutaj! — pomyślał Ignacy — leśniczy w lesie — w domu więc mogą być tylko służące.

Stara Katarzyna może sobie być, ta mi nic nie zrobi, a z młodą już sobie poradzę. Zakradł się na dziedziniec i zaglądnął przez okno do kuchni.

Katarzyna ze służącą i posługaczką obierały owoce do suszenia. Stara opowiadała im coś ochrypłym głosem, czego dziewczyny słuchały ciekawie.

— Może je zamknąć — pomyślał Ignacy — takie zagadane, że nie zauważą. Miałbym wolną rękę!

Ale nie udało mu się, bo klucz od kuchni tkwił wewnątrz.

Zgrabnie jak wąż wśliznął się do pokojów.

Rozglądał się po każdej izbie, ale nigdzie nie widział kasetki.

Następnie wszedł na schody, aby przeszukać pierwsze piętro.

Tam były zapasy, to też komórki pozamykane były na kłódki.

Prędko otworzył pierwsze drzwi, wyważywszy skobel i zakradł się do drugiej komórki, ale i tu nic nie znalazł.

Zły i zmartwiony zajrzał do trzeciej komórki. Ledwie otworzył przemocą drzwi od niej, ucieszył się niezmiernie. Pierwsze, co mu wpadło w oko, była kasetka z dębowego drzewa z ozdobnymi, mosiężnymi obręczami.

Zręcznie wyniósł ją z komórki.

Każda chwila pobytu wzmagała niebezpieczeństwo, ale on został jeszcze, aby zasunąć zasuwkę, gdyż chciał zatrzeć ślady gwałtownego wtargnięcia.

Pod surdutem miał kołdrę od Alojzego.

Wydobył ją więc, zapakował do środka kasetkę i stwierdził, czy teren jest bezpieczny.

Upewniwszy się, że nie spotka nikogo, nałożył sobie skrzynkę na plecy i prędko wybiegł z domu.

Niedaleko od leśniczówki była góra piaskowa.

Ignacy włożył do dołu skradziony przedmiot, zasypał piaskiem i rozwalił się na tym, jakby do snu.

Leżał tak nie długo, gdy przyszło dwóch chłopców ze wsi z koszami po piasek.

Zobaczywszy cygana zawołali, aby wstał.

— Dajcie mi spokój! — odpowiedział Ignacy — jestem chory.

— Choryś na lenistwo! — odpowiedzieli mu chłopcy — na to najlepsze lekarstwo pałka.

— Jeżeli mi dacie spokój, pokażę wam miejsce, gdzie są największe orzechy — przyrzekł Ignacy, żeby się ich pozbyć z tego miejsca.

— Oho! — odpowiedział niedowierzająco drugi chłopak — powiesz nam, gdzie to jest, my pójdziemy i nic nie zastaniemy.

— Dalibóg, że nie! Pełno tam orzechów. Sam chciałem iść po nie, ale jestem chory. Przynieście mi jedną garść, a wam zostanie pełny kosz.

— Dobrze, ale jeżeli to nieprawda, to cię wytłuczemy tak, że popamiętasz — zawołał jeden z chłopaków. — Chodźmy!

— A piasek? — spytał drugi.

— Piasek nie ucieknie nam, a orzechy mogą nam zabrać.

Wywijając koszykami poszli na wskazane przez Ignacego miejsce, gdzie z uciechą w istocie znaleźli mnóstwo orzechów.

Z radością zabrali się do zbierania i jedzenia zapomniawszy na śmierć o piasku i siedzieli tam do wieczora.

Śpiewając wrócili z pełnymi koszykami do wsi przyrzekłszy sobie wprzód, że nikomu nie powiedzą, skąd je mają.

Tymczasem o zmroku Ignacy wydobył z piasku swój pakunek i poszedł z nim do Felseg.

Nadsłuchiwał na wszystkie strony czy nie usłyszy kroków.

Na najlżejszy szelest chował się w krzaki, aby go nikt nie zobaczył koło leśniczówki.

Komórka, z której ukradłem kasetkę — myślał sobie — bardzo rzadko jest odwiedzana — ślady kradzieży zatarłem — jeżeli spostrzegą brak, to dopiero po kilku miesiącach i podejrzenie nie padnie na mnie.

Otarł pot z czoła.

Co też tam może być wewnątrz? — dziwił się i ciekawość jego rosła coraz to więcej.

Ostrożnie próbował cienkim gwoździem otworzyć zamek, ale napróżno.

Po długich usiłowaniach dopiero otworzył i zapaliwszy zapałkę, spojrzał do wnętrza kasetki.

Pierwsze, co mu wpadło w rękę, był list, ale że nie umiał czytać, szukał dalej. Potem znalazł części damskiej garderoby i jakieś etui.

— Oszukał się Alojzy — pomyślał sobie cygan — to wszystko razem nie warte 10 reńskich.

Zamknął z powrotem kasetkę i poszedł dalej.

W Felseg nakłamał Alojzemu, jakie to musiał przebyć niebezpieczeństwa.

— Jeżeli mi nie dasz 10 reńskich — kończył — zaniosę napowrót do leśniczówki.

— Ależ dam ci, dam — zapewniał Alojzy ucieszony.

— No, i wódki, tytoniu dasz mi także? — próbował cygan wyzyskać sytuację.

Alojzy dał mu wszystko czego żądał i gdy cygan ucieszony poszedł, zamknął drzwi i chciwie zaczął szukać w kasetce.

Wściekłość i rozczarowanie odmalowało się na jego twarzy, gdy zbadał jej zawartość.

Z trudem przeczytał list, którego treść brzmiała:

Najdroższa moja Sylwio,
dziecko moje!

Gdy czytać będziesz te słowa, dawno już mnie nie będzie na świecie. Objawiłam życzenie, aby Ci oddać tę kasetkę dopiero wtedy, gdy mnie, ani dobrego męża nie będzie już na świecie. Wybaczysz zmarłym rodzicom, że zrobili to, bo działali tylko

z miłości do Ciebie. Dowiesz się bowiem teraz coś, co Cię będzie boleć. Nie byłaś naszą córką, tylko jakiejś obcej damy, która po twym urodzeniu umarła. Rzeczy, które pozostawiła i pierścionek ślubny znajdziesz tutaj. Z biedną twoją matką nie mogliśmy się porozumieć, bo nie umiała po niemiecku. Była bardzo piękną, a ostatnie jej spojrzenie spoczywało na tobie. Kilkakrotnie wskazywała na swój gorset, schowałam go więc dla Ciebie, choć nie wiem, na co ci się może przydać.

Następowały zapewnienia miłości, które Alojzy pominął pogardliwie, i wyłuszczenie motywów, dlaczego Herbertowie postanowili pozostawić ją w błędzie aż do tej pory.

— Przeklęta baba — złości się Alojzy — żeby przynajmniej była pozostawiła w skrzynce obrączkę ślubną, byłoby się to wszystko opłaciło.

Wrzucił teraz do skrzynki, którą miał po swej matce, list i gorset, resztę zaś zostawił w kasetce.

— To będzie najważniejsze — mruknął — tego więc baron nie dostanie. Dostanie prawdziwą kasetkę, żeby się nie połapał, bo może ją zna. Ale list i gorset zostanie u mnie.

Namyśl się gdzie schować swoją skrzynię i postanowił skryć ją w podziemiu.

Postawił ją tam pod łóżko i wrócił do kuchni.

Nazajutrz przybył baron i Alojzy z tryumfem wręczył mu kasetkę.

Baron kazał mu wyjść i gorączkowo przeszukał jej zawartość.

Jakaż była jego wściekłość, gdy gorsetu tam nie znalazł.

Wyleciał do Alojzego i zawołał wściekły:

— Złodzieju, ukradłeś!

— Tak jest! Pan mi sam kazał kraść!

— Oddaj gorset, łotrze!

— Gorset? Co to jest? Czy to się je? — pytał się niewinnie kasztelan.

— Sznurówka, ośle jeden!

— Na co mi sznurówka? Przecież mężczyźni nie noszą tego? Pocóżbym miał kraść?

— Jeżeli mi nie oddasz gorsetu, to żądam, żebyś oddał tych 1.000 reńskich. Byłem głupi, że wypłaciłem ci je z góry.

— Takeśmy się nie umówili — bronił się Alojzy — ja dotrzymałem z mojej strony wszystkiego, a pan baron nie, jeżeli żąda zwrotu pieniędzy. — Żądał pan kasetki, oto jest.

O gorsecie nic nie było mowy. Gdy mi pan kazał kraść sznurówkę, nie byłbym się drożył, ale o tym nie było mowy.

— Mów lepiej od razu, ile żądasz za gorset — złościł się Egon — łotrze jakiś!

— Powoli, powoli! — upominał groźnie kasztelan — honoru nie pozwolę sobie ujmować. Nie mam gorsetu, więc nie mogę go dać. Niech pan lepiej powie, kiedy ja dostanę moich dwudziestu tysięcy!

Egon odpowiedział przekleństwem.

— Spalić mi to zaraz — zawołał z gniewem — na drugi raz, złodzieju będę ostrożniejszy.



Kobiety, jako członkowie Falangi w Hiszpanii, grają jeszcze ciągle poważną rolę, ponieważ w ich rękach spoczywa pomoc i opieka nad rannymi. Niedawno zorganizowano w Salamance zebranie, na którym zebrało się wiele falangistek. Zdjęcie nasze przedstawia jedną z falangistek podczas przemówienia.

— Nie ma pan prawa robić mi wyrzutów — sprzeczał się Alojzy — jeżeli tu jest kto pokrzywdzony, to tylko ja!

— Ty durniu jakiś! Ty jeszcze udajesz niewinnego całkiem!

Przeklinając, wskoczył na konia i odjechał.

Alojzy splunął za nim i zabrał się do badania gorsetu. Ale jego palce nie poczuły nic.

— Musi tam jednak coś być — mruknął — jak Ilona będzie moją żoną, każę jej zobaczyć.

Żeby skryć dobrze ten cenny, choć nieznanej wartości przedmiot, wyważył dłutami jedną z tafli kamiennych, którymi podziemie było wyłożone, wykopał w ziemi dół, włożył tam gorset i założywszy na powrót taflę kamienną, rzekł zadowolony:

— Tu go nikt nie znajdzie.

Wyniósł ziemię wygrzebaną i wyrzucił ją na śmiecie.

Bardzo był z siebie zadowolony, że tak na sznurku prowadził Egona.

— Ależ on był zły — śmiał się w duchu — ale to dopiero początek, ja mu jeszcze pokażę.

Przygotował sobie na uczczenie powodzenia hojną ucztę i postanowił nawet Wernerowi zgotować przyjemny dzień.

— Za tych 1.000 reńskich — mruknął — które mam od jego zacnego kuzyna, dostanie ciepłą pieczeń i wino.

ROZDZIAŁ LXXVI.

Przestroga we śnie

Przed hotelem „Pomo d'oro“ wysiadł z gondoli jakiś gość, którego właściciel uważał za stosowne powitać uprzejmie i uniżenie, gdyż wyglądał jak bogaty pan.

Młody był i piękny, ale więcej niż to, zajmowało gospodarza hotelu jego elegankie ubranie, wskazujące na to, że właściciel jest zamożny.

Obcy zamówił nie jeden, ale sześć obok siebie leżących pokoi, dwa salony i dwie sypialnie, ale nie obok siebie.

— Obok jednej sypialni — mówił łamaną francuszczyzną — musi być buduar i pokoik dla służby.

W miarę jak mówił, wzrastał zachwyt gospodarza hotelu.

Zdjął czapkę i kłaniał się bez przerwy.

— Cały mój hotel na usługi Waszej Ekscelencji — mówił — mam najpiękniejsze pokoje w całej Wenecji, ładnie urządzone, piękny widok, kuchnia u mnie wyśmienita a ceny śmiesznie tanie.

Jaśnie pani ze służbą pewnie nadjedzie? Ekscelencja wyjechał naprzód?

— Pokoje te nie dla mnie — odpowiedział niechętnie przybysz — tylko dla pani baronowej vom Wimpfen, która za kilka dni nadjedzie. Proszę mi tymczasem wyznaczyć skromny pokoik.

To ostudziło zapał właściciela hotelu dla przybysza.

Nasadził na powrót czapkę i nie kłaniał się tak już uniżenie.

— Ach — spytał po chwili — signore jest kurierem pani baronowej.

— Jestem jej sekretarzem — odparł przybysz niechętnie.

Właściciel hotelu zrobił taką minę, jak gdyby chciał powiedzieć, że u niego kurier a sekretarz to wszystko jedno.

Zawołał kelnera i kazał zaprowadzić gościa pod numer 29-ty i z pogardą patrzył na jego mały kuferek.

Kelner poszedł na górę, a obcy szedł za nim w ponurym milczeniu.

Numer 29-ty był na poddaszu, miał gołe ściany i wyglądał bardzo niemiło.

Kelner złożył tu jego kuferek, spytał po włosku o dalsze rozkazy, a gdy gość odpowiedział niechętnym skinieniem głowy, wyszedł.

Gdy Leon Waldau — gdyż on to był — został sam, zaczął chodzić po pokoju dużymi krokami.

Chmura zawisła mu na czole, a oczy ciskały błyskawice gniewu.

— Pierwsze upokorzenie — mruknął niechętnie — to tylko początek. Potem przyjdą inne. Wszystko to dla ciebie, Lolo — dla ciebie się upokarzam, dla twej miłości cierpię — choć każda kropla krwi burzy się we mnie przeciw temu! Ale jestem jakby zaczarowany i przykuty do ciebie i nie mogę się uwolnić. Żebyś przynajmniej już była tu, żebym mógł zapomnieć w twoich objęciach, o wszystkim.

Rzucił się na kanapę rozpamiętując wszystko, co się stało.

Baronowa raz jeszcze przywołała go do pawilonu ogrodowego i zaklinała na wszystko w świecie, aby z nią, jako sekretarz, pojechał do Włoch, gdzie będą w ukryciu prowadzić sielankowe życie. Z początku sprzeciwiał się, później jednak ustąpił.

— Zrób mi inną propozycję, wskaż inną drogę, a zgodzę się — mówiła. — Może udamy, że się przypadkowo spotykamy?

— Ale w takim razie nie możemy żyć razem, tylko widzieć się najwyżej kilka godzin dziennie. Wystarczy ci to? Mnie nie! Ja chcę ciebie mieć przy sobie o każdej godzinie dnia i nocy.

— Jako mój znajomy nie możesz być stale przy mnie — jako sekretarz natomiast możesz mieszkać obok mnie i każdej chwili mieć do mnie wolny przystęp. Chodzić, jeździć, będziemy razem, a nikt nie zauważy w tym nic zdrożnego, nikt nie będzie mógł o mnie powiedzieć coś złego.

Anastazję biorę ze sobą, jako garderobianę. Wtajemniczyłam ją we wszystko i okupiłam jej milczenie. Wszystko jest w najlepszy sposób zaaranżowane, więc czego jeszcze się wahasz?

— Bo nie chcę jeździć jako twój służący — powiedział Leon niezadowolony — czy nie mógłbym reprezentować twego krewnego?

— Nie, to niemożliwe — odpowiedziała po krótkim namyśle. — Bratem moim nie możesz być, bo cała arystokracja austriacka wie, że nie mam brata.

Z kuzynkiem, takim młodym i przystojnym jak ty, nie mogę jeździć, bo to byłoby bardzo dwuznaczne, więc cóż pozostaje? Czy mam cię przedstawić jako mego wujaszka, albo troskliwego opiekuna?

Więcej pieszczotami i zapewnieniami jej miłości, niż tym argumentem przekonany, zgodził się Leon wyjechać nazajutrz do Wenecji i tam ją oczekiwać.

Mówiła, że sama nie może nagle wyjeżdżać, bo to wyglądałoby jak ucieczka, że musi załatwić różne majątkowe czynności, wizyty pożegnalne i garderobę na podróż przygotować.

Leon w gruncie rzeczy niczego więcej nie pragnął, jak tylko tego, aby wydostać się jak najprędzej z Wiednia, bo tu w poczuciu winy zdawało mu się, że ziemia pali mu się pod stopami.

Czuł wyrzuty sumienia na myśl o żonie. Od swego czasu mieszkał w hotelu, pod obcym nazwiskiem z obawy, aby go żona nie odnalazła.



Na powyższym zdjęciu widzimy oryginalny model sukienki — krynoliny, pochodzącej z roku 1870. Suknię tę włożą angielskie arystokratki w dniu uroczystości koronacyjnych.

Każdej chwili obawiał się też na ulicy, że gdzieś z za węgła domu wyskoczy Hortensja i zrobi mu szaloną scenę na ulicy.

Po gazetach trwożnie szukał inseratu wzywającego go, aby wrócił. W zdenerwowaniu swoim zapomniał o tym, że to wszystko jest niemożliwe, wobec biernej i delikatnej natury Hortensji.

Podczas pożegnania z baronową, wsunęła mu do ręki portfel z pieniędzmi.

On dumnie odrzucił zrazu propozycję, ale ona przekonywała go, że przecież wszystkie wydatki ponieść ma dla niej i prosiła go bardzo o przyjęcie.

On byłby nie ustąpił, ale przeświadczenie, że gotówka jego skończyła się, zmusiło go do tego, stłumił dumę męzczyzny.

Pożegnawszy się z Lolą, wyjechał szybko do Wenecji.

Rozłąka z kochanką, która miała być krótką, wydała mu się nieskończenie długą. Tęsknił za Lolą, bo tylko w jej pobliżu zapomniał o wszystkim, a w samotności obraz Hortensji ukazywał mu się po tysiąc razy.

Wyciągnięty na twardej sofie, odczuwał teraz dopiero, że podróż go zmęczyła. Myśli mu się plątały. Nieświadomie przybrał wygodniejsze położenie i po chwili zasnął na dobre.

Ale nie był to spokojny sen dziecka lub człowieka o czystym sumieniu. — Twarz wykrzywiła mu się kurczowo i jęki jakieś wydobywały się z jego piersi, a rękoma wykonywał trwożne ruchy, jakby się bronił przed czymś.

Zdawało mu się, że zjawił się wysoki jakiś, ponury olbrzym w fantastycznym czarnym odzieniu i że daje mu znak, aby szedł za nim. Leon posłusznie idzie. Tajemniczy olbrzym prowadzi go do ponurego jakiegoś pokoju, zawieszonego czarnymi firankami i daje mu znak, aby zasłonę odchylił. Czyni to i natychmiast cofa się z krzykiem strasznego przerażenia. Za firanką bowiem leży blada i zakrwawiona, z oczyma na wieki zamkniętymi, Hortensja, piękna jak anioł. Tylko rękę wyciągnąć, a dotknie się jej zesztywniałych palców. Jęcząc, pada na kolana, twarz kryje w rękach. Nad uchem zaś słyszy jakiś groźny głos: To twoje przeklęte dzieło! Za późno przyszła skrucha, za późno refleksje!

Przerażony zerwał się z kolan i zobaczył znowu olbrzyma, który wskazał mu znowu niemym ruchem drugą firankę. Leon podniósł ją i nie mniejsze przerażenie ogarnęło go na nowy widok. Żebrak otulony w szmaty, to on. Choroba, nędza i rozpacz malują się na twarzy tego obdartusa... A któż ta druga postać za nim? Jakaś kobieta wytwornie ubrana patrzy na tego żebraka z nieukrywanym wstrętem i szyderstwem.

Czyż to możliwe? Czyż by to była Lola? Ta sama Lola, która z miłości dla niego wszystko jest gotowa poświęcić? Nędznico! zawołał tak głośno, że własny głos go zbudził.

Spojrzał dokoła. Oblany zimnym potem leżał na kanapie, w skromnie urządzonym pokoju hotelowym.

Bogu dzięki — mruknął, nie widząc żadnych czarnych firanek, które go tak zaniepokoiły. — A więc to wszystko było tylko snem!

Ale sen ten napełnił go szaloną trwogą i nie schodził mu długi czas z pamięci. Mary widziane we śnie dręczyły go wciąż, nie dając się odstraszyć żadnymi argumentami, ukazywały mu się i napawały go strachem zabobonnym, którego nie mógł stłumić.

Wreszcie powziął jakiś zamiar. Umył się i przebrał i wyszedł na ulicę, aby cudami Wenecji zagłuszyć w sobie wyrzuty sumienia.

ROZDZIAŁ LXXVII.

Przyjemne siostrzyczki

Pełnia srebrnym światłem oblewała miasto cudów. Leon siedząc w gondoli jechał z szybkością błyskawicy po kanałach, na których zbudowana jest Wenecja.

Za tymi kanałami, zwanymi lagunami, zobaczył z zachwytem morze, fale oblane zielonym srebrzystym światłem, wśród których Wenecja błyszczała, jak olbrzymi, fantastyczny pałac.

Wieże i wieżyczki odbijały się na tle niebios, kontury ich tkane były srebrnym światłem księżyca.

Tak cudnie wyglądało przy księżycu to morze i to miasto oblane wodami, że każdy człowiek byłby oniemiał z zachwytu.

To też Leon zapomniał wśród piękna obrazu o własnych cierpieniach. Gdzie spojrzał, znalazł coś czarującego i zajmującego.

Liczne gondole przejeżdżały obok niego; gondolierzy nawoływali się wesoło, gdzie niegdzie słychać było pieśń, podnoszącą urok cudownej nocy weneckiej.

Nasyciwszy się tym pięknym widokiem, kazał się Leon zawieźć na plac św. Marka.

Tam jest serce Wenecji, tam życie jej bije najwyższym tętnem. Plac wyłożony kamieniami, otoczony wspaniałymi

budowlami, oświecony jest w nocy rzęsistym światłem i napełniony tłumem rozbawionych ludzi.

Wydawał on się Leonowi sceną używania rozkoszy życia.

Usiadł w jednej z najbliższych kawiarni. Z trudem porozumiał się z kelnerem, aby mu przyniósł mrożonej kawy i pijąc, przypatrywał się otoczeniu.

Na placu spacerowało tam i na powrót bardzo wielu ludzi. Muzykanci wygrywali narodowe melodie, a w pewnym oddaleniu widać było teatr marionetek, przyciągający dużo ciekawych.

Dolatywały stamtąd głośne śmiechy i okrzyki. Wszystko oddychało tutaj radością i weselem.

Leon, przypatrzywszy się temu pstremu obrazowi, zwrócił uwagę na najbliższe swoje otoczenie i zobaczył przy następnym stoliku, grupę groteskową i śmieszną.

Siedzieli tam jacyś Anglicy, którzy z komiczną powagą zajadali lody i przypatrywali się ludziom przez binokle, osadzone na długich czarnych rączkach.

Jeden z nich, którego nazywali „Pa", miał na sobie ubranie z bardzo dobrej materii, ale w bardzo duże i niemożliwie różnobarwne kraty. Był przeraźliwie chudy. Twarz jego była podobna do końskiego łba. Ozdobiały ją długie bokobrody. Na głowie miał „kepi" z tej samej materii, co ubranie.

Jego małżonka nie ustępowała mu zupełnie pod względem brzydoty i chudości. Ubrana była także bardzo kosztownie i usiłowała robić wytworną minę, ale, niestety, to nie udawało jej się.

Wspaniała ta para małżeńska siedziała w towarzystwie dwóch córeczek, które, mimo młodocianych strojów, widać było, że przekroczyły już 30-tą wiosnę życia.

Na rudych główkach miały kapelusiki z których spływały przejrzyste woalki na twarzyczki, zasłaniając trochę ich brzydotę.

Jasne, jedwabne suknie okalały ich kibicie, bardzo mało podobne z kształtu do Wenus, a raczej przypominając bardzo pożyteczny sprzęt, mianowicie deskę do prasowania.

Do tych wdzięków trzeba jeszcze dodać trzymane w kościstych rączkach długie czarne binokle i głośne rozmowy prowadzone po angielsku.

Te rozkoszne gracje zauważyły przy sąsiednim stole pięknego młodzieńca.

Z początku gapiły się na niego przez szkła i robiły różne uwagi, że jest przystojnym gentlemenem, ale zdaje się nie Anglikiem.

Następnie poczęły go obrzucać gorącymi spojrzeniami, które odbijały się o niego, jak groch o ścianę.

Matka ich przypatrywała się temu zupełnie obojętnie.

— Zobaczono „Pa"! — rzekła do męża — ten pan nie odwraca oczu od Inez i Fides, ale też one wyglądają dziś bardzo korzystnie.

„Pa" odpowiedział jakimś charczeniem i zatopił się znowu w spożywaniu lodów.

Inez i Fides tymczasem zauważyły, że pierwszy ogień ich spojrzeń nie zrobił na Leonie wrażenia i naradzały się, jakimby sposobem go zwabić.



Minister spraw zagranicznych, Józef Beck, spędzał ostatnio swój urlop wypoczynkowy na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Zdjęcie nasze przedstawia ministra z żoną (na prawo) córką i jednym z przyjaciół (na lewo) w Monte Carlo.

— Może upuścić chustkę? — spytała Inez — on wygląda tak elegancko; z pewnością podniesie.

— Tak, podniesie, ale ukłoni się i odejdzie. Wygląda na bardzo nieśmiałego — odpowiedziała Fides.

Naradzały się więc jeszcze chwilę z niezwykłą w ich pożyciu rodzinnym harmonią.

— Uważasz „Ma", jaki tu przeciąg? Straszny przeciąg! — rzekła nagle z patosem i głośno Fides.

Matka nie uważała, aby był przeciąg i zapewniła córkę, że wcale, a wcale nie ma przeciągu.

Dopiero po jej wyrazistym, gniewnym spojrzeniu, poprawiła się, mówiąc:

— Ach, rzeczywiście, jest przeciąg, może więc pójdziemy do domu?

Propozycja ta naturalnie nie wywarła miłego wrażenia na córeczkach

— Ach! Jaki śliczny wieczór! Szkoda jeszcze iść do domu. Lepiej przesiąść się na inne miejsce.

— Kiedy zajęte wszystkie stoliki! — wtrąciła nieśmiało „Ma".

— Ech, jakoś sobie poradzimy! — odpowiedziała Inez, pewna siebie.

Zawołała kelnera i zaczęła z nim rozmawiać.

Umiała wprawdzie trochę po włosku, ale, że słyszała przedtem, jak Leon rozmawiał z kelnerem po francusku, zaczęła mówić tym samym językiem, tak, aby ją Leon rozumiał.

Mówiła przy tym tak głośno i tak niedwuznacznie wskazywała na miejsce Leona, że zrozumiał wreszcie o co chodzi i zdjąwszy kapelusz, zbliżył się do ich stołu z ukłonem, proponując sąsiadkom zamianę miejsc, przy czym pokazało się, że mówi dość dobrze po angielsku, co dodało mu nowego uroku w oczach Angielek.

Bardzo jest pan uprzejmy! — odpowiedziała Inez z uroczym uśmiechem — rzeczywiście, mamy ochotę przesiąść się na pańskie miejsce, ale wstrzymuje nas obawa, że pan tutaj, w tym strasznym przeciągu, może nabawić się śmiertelnej choroby. Wolimy już same paść ofiarą tego zdradzieckiego miejsca.

Leon zapewniał z uśmiechem, że mu przeciąg nie szkodzi, panna Inez jednak upierała się przy swojem.

To sprzeciwia się uczuciu człowieczeństwa przyjmować taką ofiarę — mówiła pokazując żółte zęby, co u niej zastępowało uśmiech — ale, jeżeli pan chce być taki uprzejmy, to ośmielamy się zająć miejsce przy panu. Biedna „Ma" omal, że nie dostała newralgii przy tym stole. Dla niej to musimy korzystać z pańskiej dobroci.

Leonowi nie pozostawało nic innego jak tylko udać, że jest zadowolony z takiego wyniku sprawy i ostatecznie w usposobieniu w jakim był, wolał jakiekolwiek towarzystwo, niż samotność ze swoimi myślami.

Anglicy z wielką godnością i wielkimi ceregielami przenieśli się do jego stołu, przy czym on uprzejmie im pomagał.

Tyle tam było parasoli, wachlarzy i zarzutek do przenoszenia, że trwało dobrych kilka minut, nim wszystko znalazło się przy stole Leona.

Zanim „Pa" zasiadł jednak przy stole, skłonił się sztywnie, jakby był przynajmniej panującym.

Nazywam się Snob, to moja żona mrs. Snob, moje córki miss Inez i miss Fides Snob!

Leon przedstawił się także, przy czym panienki trochę się rozczarowały, sądziły bowiem, że ten elegancki mężczyzna jest przynajmniej jakimś francuskim markizem, węgierskim hrabią, albo polskim szlachcicem.

Tymczasem usłyszały tylko zwyczajne mieszczańskie nazwisko „Waldau".

Pocieszały się jednak tym, że to w każdym razie nazwisko piękniej brzmiące, niż ich własne, „Snob".

Mimo wielkich pieniędzy, które miał „Pa", mimo, że od 14 lat chodziły na wszystkie bale i koncerty ogrodowe, nie mogły się wydać za mąż.

Znalazło się wprawdzie kilku awanturników o marnej egzystencji, którzy zgodziliby się na to, aby „Pa" dał pieniądze i jako mniej przyjemny dodatek jedną z córek, ale one poznały się na tym.

Skoro zatem w Londynie nie szło i wszystkie ich przyjaciółki były szczęśliwymi żonami i matkami, a im się nie szczęściło, postanowiły szukać szczęścia na obczyźnie.

I tak pewnego lata Inez i Fidez odkryły u swych rodziców jakieś cierpienie, wymagające według zapewnień usłużnego lekarza domowego, koniecznej zmiany powietrza i zanim mr. i mrs. Snob dowiedzieli się o co chodzi, znaleźli się w podróży, posłuszni żądaniom córek.

Oboje pochodzili z bardzo miernego stanu i dorobiwszy się majątku, mieli ogromny szacunek dla wykształcenia córek i dlatego oboje słuchali ich na każdym kroku.

Ale pomimo, że już pół roku wciąż zmieniali powietrze w Niemczech i we Włoszech, nie było im ani lepiej ani gorzej, a córeczki nadal miały do oddania rękę i serce.



Fragment z balu niemieckich obywateli zamieszkujących okolice Węgier, w Budapeszcie, wyprawianego z okazji jednej z narodowych rocznic.

Teraz prowadziły z Leonem rozmowę, w której on zachowywał się dość biernie.

Pani Snob domyśliła się wreszcie, że córki przesiadły się tutaj, aby ośmielić młodzieńca i co więcej domyśliła się nawet, że one mu się bardzo podobają. Nie wiedziała tylko która więcej.

Lecz Leon miał tymczasem niełatwe z nimi zadanie. Ledwie bowiem Inez spytała go o coś, a on zabierał się do odpowiedzi, wnet Fides stawała się zazdrosną i obrzucała go całym potokiem pytań.

Jeżeli Inez upuściła wachlarz i pokazując żółte zęby dziękowała Leonowi, że podniósł, wnet Fides upuszczała swój wachlarz, rękawiczkę lub batystową chustkę do nosa na ziemię, tak, że Leon pół godziny musiał klęczeć obok nich, nim te wszystkie graty pozbierał.

Wreszcie za dużo mu było tej przyjemnej zabawy, pożegnał więc je uprzejmie i ku wielkiemu niezadowoleniu dam odszedł.

W pokoju swoim zastał ładniutką, czarnooką służącą, która sprzątała.

Popatrzyła na niego przymilnie, co mu się ogromnie spodobało.

Próbował nawet z nią nawiązać rozmowę, ale niestety, nie umiał po włosku.

Na migi dawał jej znaki, że ona również podoba mu się, na co odpowiedziała mu wesołym śmiechem, pokazując szereg białych zębów.

Pogłaskał ją po twarzy. Nie broniła się wcale.

Po kilku nieporozumieniach dowiedział się, że nazywa się Vittorina, ale gdy powtórzywszy kilka razy pieszczotliwie jej imię, chciał ją objąć ramieniem, wywinęła się zwinnie jak wiewiórka.

To przyjemne intermezzo odświeżyło trochę Leona. Był on w takim usposobieniu, że każda rozrywka była dla niego bardzo pożądaną, bo tłumiła głos sumienia.

Po pewnym czasie udał się do sali jadalnej na kolację.

Tam usiadł przy jednym z okien i kazał sobie podać kolację.

Patrząc przez okno, zobaczył nagle rodzinę Snob. Panny Snob tak się gapiły na niego, że musiał wstać i ukłonić się.

Odpowiedziały bardzo uprzejmie i znikły w bramie hotelu „Pomo d'oro".

Inez i Fides triumfowały.

— Ależ on sprytny — rzekła Fides — wyśledził w jakim hotelu mieszkamy, a potem sam się do niego sprowadził.

— O kim mówisz — spytała trochę ograniczona „Ma".

— Ach, o kim, jeżeli nie o mr. Waldau — odpowiedziała opryskliwie Fides — nie widziałaś go przy oknie jadalni, jak nas pożerał oczyma?

— Ależ naturalnie, naturalnie! — zawołała pani Snob — to jest jasne, jak mączna polewka, że ten Uallej, czy jak się on tam nazywa, zakochany jest w was po uszy.

— „Ma" — zawołała Inez rozdrażniona — prosiłam cię tysiąc razy, abyś nie używała takich ordynarnych wyrazów. Czy kto słyszał, aby tak mówić w salonie? Czy wydaje ci się, że wciąż jeszcze sprzedajesz śledzie w Whitehapel i zielone mydło? A potem, jak możesz mówić takie głupstwo, że on się w nas kocha. Czy można się w dwóch kochać i z dwoma ożenić? We mnie on się kocha, przecież to jasne jak słońce.

— A to ciekawe — zawołała Fides z efektownym uśmiechem — prędzej by on mógł się w rodzonej babce zakochać, niż w tobie. Przecież to jest jasne, że jeżeli kto ma do wyboru między starszą a młodszą, to wybiera młodszą.

— Boże mój — zawołała Inez — to stworzenie wmawia sobie, Bóg wie co, na to konto, że jest o rok młodsze ode mnie. Uspokój się, gołąbeczku, bo wyglądasz o dziesięć lat starzej. Zresztą nie oddawaj się złudzeniom, bo Waldau tak mi nadskakiwał przez cały wieczór, że dla ciebie nie ma najmniejszej nadziei. Przez cały czas rozmawiał tylko ze mną.

— A, boś go wciąż zasypywała pytaniami i nie dawałaś mu spokoju — odrzekła z gniewem młodsza siostra. — Ujarzmiałaś go, ale ja widziałam najwyraźniej, jak rzucał spojrzenia pełne żalu, że nie może się mnie poświęcić.

Inez chciała znowu coś odpowiedzieć, ale „Pa" zaczął chrząkać, co było oznaką, że chce mówić.

Córki umilkły, jak na komendę.

— Trzeba się dowiedzieć, kto on jest — rzekł mr. Snob.

— Tak jest — potwierdziła miss Inez — dobrze „Pa" mówi. Jużem myślała o tym, tylko ta Fides wiecznymi kłótniami nie daje mi spokoju.

Zadzwoniła na służącą, a gdy Vittorina się zjawiła, zapytała ją łamanym włoskim językiem, pokazując przy tym uprzejmie żółte zęby.

— Czy nie przyjechał tu dziś jaki obcy pan do hotelu?

— Si, si, signorina (tak, tak, panienko) — potwierdziła Vittorina z temperamentem — bardzo przystojny pan.

— A jak się nazywa? — pytała Inez.

— Obce jakieś nazwisko, bardzo obce nazwisko — przypominała sobie Vittorina — nie potrafiłabym nawet wymówić.

— Waldau może? — spytała Inez z tryumfem.

— Si, signorina — rzekła Vittorina.

— A czy nie zapisał prócz nazwiska także czym jest? — pytała panna Snob dalej.

— Nie — odpowiedziała Vittorina. ale w tej samej chwili zaczęła się domyślać, dlaczego ta brzydka, niesympatyczna Angielka, to stare pudło, dowiaduje się o Waldaua i postanowiła jej spłatać figla.

— Signora — rzekła szepcąc poufale — mogę pani coś więcej opowiedzieć o tym Niemcu, niż to, co jest zapisane w księdze. Gdy on przyjechał, byłam w sieni. Piękna dziewczyno — pytał mnie — czy tu mieszka familia Snob?

— Tak jest — odpowiedziałam.

— A czy można dostać jeszcze miejsce? — spytał potem niespokojnie.

Gdy mu powiedziałam, że jest, bardzo się ucieszył.

Zawołałam signora Spalazzi, właściciela, a sama odeszłam i podsłuchiwałam. On przedłożył Spalazziemu swoje papiery na wypadek, gdyby przychodziły listy do niego, a sam zapisał się do księgi pod obcym nazwiskiem. Spalazzi kłaniał się wciąż i tytułował go hrabią. Słyszałam najwyraźniej, jak on potem powiedział:

— Skończmy z tytułami. Jestem dla pana zwyczajnym signorem, proszę mi dać maleńki pokoik, ale przygotować mi 6 pokoi na pierwszym piętrze, do których sprowadzę się za kilka dni.

Wyładowawszy tyle kłamstwa i śmiejąc się w duchu z triumfujących min Angielek, wyszła Vittorina, po czym Inez przetłumaczyła rodzicom, co usłyszała.

Ciąg dalszy na str. 193.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

„JAK TO SIĘ STAŁO?"

„Zawierucha" donosi: „Na pierwszy mój apel otrzymałam list od Pana, który tylko przypadkiem czytał „Moje Powieści". Z naszej „Rodzinki" nikt się nie odezwał. Jak to się stało? Czyżby do „Krainy" nie należał nikt brzydki i nieszczęśliwy?

Mój charakter opisałam już w ostatnim liście, dzisiaj dodam tylko, że mam 23 lata, że jestem ładną i z życia zadowoloną. Ukończyłam szkołę średnią. Stałym moim zajęciem jest praca biurowa. Przez 4 lata pracowałam w Bydgoszczy. Byłam dwa razy w Żninie i z nam tam kilka osób. Szkoda, że wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Pani tam pracuje. W lecie będę przez parę tygodni w Bydgoszczy więc postaram się powetować stratę i poznać Panią. Nim to jednak nastąpi spróbuję w myślach skreślić portret Pani. —

Czasem Cię widzę niby promień słońca,
Jasną, figlarną, pełną blasku zórz.
Czasem poważną, smutnie uśmiechniętą
Z twarzą co mówi, że ból znałaś już.
Czasem — lecz kończę, nie mogę być nudną,
Musisz być piękną — bo masz duszę cudną".

Wierszyk śliczny, dziękuję za niego. Czy dobrze mnie Pani scharakteryzowała, przekona się Pani w lecie, gdy przyjedzie do Żnina. Ślę Pani siostrzane uściski i uznanie za wierszyk, który niżej zamieszczam. Jak na pierwszy utwór, jest on naprawdę miły!

W ZIMOWY WIECZÓR

Ciemno, zimno... zawierucha
Poprzez pustę pola gna,
Wiatr kaskadą śmiechu bucha,
To znów cicho, rzewnie łka...
W dziwnym wichru tego graniu
Całe życie treść swą ma — —
Młodość! piosnka o kochaniu,
Potem starość — cicha łza...
Tak bym chciała z zawieruchą
W bezprzestrzenną lecieć dal —
Wiarą w szczęście i otuchą
Koić ludzki ból i żal.

„Zawierucha".

JESTEM WDZIĘCZNA...

„Smutna Kazieńka". Życzę Pani jak najmilszego pobytu w Bydgoszczy. Trójkę miłych bobasów — pozdrawiam serdecznie i wdzięczna im jestem, że nie pozwolą Cioci trapić się smutnymi myślami. Brawo, Dzielna Trójka!!!

Dopisek z listu „Smutnej „Kazieńki":

„Rozpieszczona Kotko" i „Szarotko", dziękuję Wam za miłe słowa pociechy i wzamian zasyłam moc całusów.

„Złocisty Promyczku", dziękuję Ci za zainteresowanie się moją osobą, napiszę później.

„Biała Uajali", tęsknie ogromnie za listem. Czy mój odebrałaś. Jestem obecnie w Bydgoszczy, możesz jednak pisać na stary adres, gdyż list mi prześlą. Całuję i pozdrawiam".

OBÓZ OPOZYCYJNY ZYSKUJE CORAZ WIĘCEJ ZWOLENNIKÓW

P. H. K. Toruń. Zakopane znam bardzo dobrze i żywię taki sam kult do gór, jak i Pani. Wierszyk Pani i liścik był dla mnie jakoby echem moich dawnych wrażeń i wspomnień wywiezionych z gór.

Nie uwierzy Pani, jak mi miło, że podchodzi Pani do mnie tak serdecznie i ciepło. Rozumie mnie Pani, moją pracę, moje myśli — to mnie cieszy i dlatego pragnę Panią poznać bliżej. Proszę, niech Pani pisze mi dużo o sobie i jak najczęściej.

Wierszyk zamieszczam. Proszę o następny. Okładki nigdy naprzód nie obmyślam. Zwykle w ostatniej chwili, jeżeli posiadam piękną kliszę, dobieram odpowiedni wierszyk i odwrotnie, jeżeli posiadam piękny wierszyk dobieram odpowiednią kliszę.

A teraz jeszcze kilka słów z listu Pani:

„W zupełności stoję po stronie „Dziewczęcia z Kujaw" i „Małej Konwalijki" i równocześnie i ja przyłączam się do obozu opozycyjnego, bo uważam, że lepiej pisać do p. Zofii i powierzać Jej wszystkie swe troski i bóle — jak do kogoś innego, niż przeciętny człowiek, jak do kogoś, kogo się nigdy nie widziało inaczej, jak oczyma swojej własnej duszy, jak do kogoś kogo się wypieściło w marzeniach i wyobraźni. Czemu nagle mamy ujrzeć twarz p. Zofii na zwykłym papierze, może jeszcze na źle udanym zdjęciu? Nie zgadzam się z tym, nie chcę, po stokroć nie chcę i pewna jestem, że będzie miała więcej zwolenniczek i zwolenników, którzy poprą tak samo mnie, jak ja popieram „Małą Konwalijkę" i „Dziewczę z Kujaw". Pani musi być dla nas dalej Tajemnicą — Miłem — do którego będzie się wiecznie tęsknić i wiecznie o nim wić sny i pieścić w marzeniach".

TATRZAŃSKA BAŚŃ...

Trzy dni, patrzyłam na Tatr dumne szczyty,
Wyłaniające się z porannej mgły
Na łańcuch granitowy Bożym rylcem ryty,
Patrzyły moje oczy i zachwytu... łzy.

Brnęłam po nieskalanym śniegowym kobiercu,
By ucałować Siklawy zamarznięte stropy,
Choć tak bardzo smutno było memu sercu,
Że dziewiczą biel śniegu zbrukały me stopy.

Te trzy dni były baśnią, kolorową, jasną,
Którą wypieścił ciepły górski wiatr,
Baśnią, o której wspomnienia nigdy nie zagasną,
Cudem cudów, piękna, majestatu Tatr.

Te długie wieczory pełne szczęśliwości...
Za oknem śnieg pruszył cicho, cichuteńko,
Strojąc świerki, jodły - cudem swej białości
Miłem, marzeniem było to małe okienko.

Taka cisza błoga... tak przesłodko było...
Chwilami tylko gdzieś bardzo daleko,
(Może to moje własne serce biło...)
Sań góralskich dzwoneczka słychać było echo...

Trzy dni patrzyłam w mego Królewicza oczy,
Jakżesz ja Jego szalenie kochałam,
Tam, gdzie świat jest najbardziej uroczy,
Tam Mu swą dozgonną miłość ślubowałam.

Słowa przysięgi słyszały jeno w tej cichej dolinie
Granitowe szczyty i brylantami tkane śniegowe kobierce,
Zakopiańskie lasy i potok, co z hałasem płynie
Najlepiej jednak usłyszało Jego własne serce.

Byliśmy szczęśliwi patrząc przez małe okienko,
Lecz szczęście — (jak zwykle) tak króciutko trwało
I odeszło jak przyszło cicho, cichuteńko,
Bajka się skończyła — szczęście się rozwiało...
— — — — — — — —
Wszystko przeminie, może wszystko ulec przerwie,
Lecz jest coś, że gdy raz do serca przywrze i serce omota,
To żadna siła nie stłumi i nic nie oderwie...
A to jest za szczęściem minionym — tęsknota...

Helena Karge — Toruń.

„CZY ODPOWIE KTOŚ NA MÓJ ZEW?"

„Promienne Szczęście". „Jestem wszechstronnie wykształconą, muzykalną Wielkopolanką, którą los rzucił w obce, nieznane strony, na cichą odludną wioskę. Kocham jednak swą pracę więc obojętnie mi na jakim terenie pracuję.

Z natury jestem idealistką i optymistką, ale na życie patrzę poważnie i nie zrażam się przeciwnościami, których nie szczędzi mi zły los. Z ufnością i wiarą w lepsze jutro patrzę w przyszłość. Kocham życie i ludzi i uważam, że nie ma złych ludzi, że w każdym z pozoru nawet najgorszym człowieku, drzemią ukryte (może głęboko) dobre strony, skłonności. W postępowaniu moim z ludźmi kieruję się słowami poety:

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba,
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zbliża do nieba...

Kieruję się dobrocią i nie zawiodłam się nigdy na tym. Czuję się naprawdę szczęśliwa, może dlatego, że nie czekam na jakieś nieuchwytne szczęście, ale cieszę się każdą najmniejszą chwilą radości, jaką mi czasem niesie życie codzienne — szczęśliwa jestem wewnętrznym spokojem. A jeżeli czasem cierń ostro mnie skaleczy, to i wtedy uśmiecham się promiennie, bo kocham życie takim, jakim ono jest. Książki i muzyka to mój świat. Muzyka która potrafi poruszyć wszystkie struny duszy, jednak nie ta jazgotliwa, dzisiejsza, ale taka Jestem bardzo zajęta, lecz wieczory mam wolne i chętnie pogawędziłabym podczas nich, skimś nieznanym, dalekim (Czytelniczką lub Czytelnikiem) wykształconym, kulturalnym, kochającym wszystko co dobre i piękne.

Czy odpowie ktoś na mój zew?"

Przypuszczam, że tak. Na listy, podobne do powyższego, zawsze chętnie zwraca się uwagę i nie mniej chętnie odpowiada. Zatem życzę Pani naprawdę miłej i jak najwartościowszej korespondencji.

Przesyłając list do jakiegoś Sympatyka lub Sympatyczki „Krainy", wystarczy zaopatrzyć kopertę odpowiednim pseudonimem, dołączyć 25 gr. znaczek i przesyłkę skierować na moje ręce. Reszta należy już do mnie.

Łączę dla Pani dużo pozdrowień.

ODEZWA „ANTKA GRANIACZARZA"

„Antek Graniaczarz", bardzo morowy Pomorzanin, wystosował następującą odezwę do całego zespołu „Krainy":

„Hallo! Tu woła „Antek Graniaczarz!

Przemiłe Przyjaciółki i Przyjaciele! Zgłaszam się dzisiaj do Was, aby móc razem z Wami śmiać się i płakać, pojękiwać na złą dolę i chwalić każdy łaskawszy uśmiech losu. Jeżeli macie ochotę piszcie do mnie. Chętnie podzielę Wasze troski i smutki. Podobno umiem pocieszać, tak ogólnie mówiąc. Powstał nawet na ten temat oryginalny wierszyk:

„Jak Graniaczarza coś zaleje,
to każdy się śmieje,
a jak on zacznie gadać,
to wszystko musi się składać.
On ma humoru pełen worek
I dzieli się z nim w każdy wtorek...

Wierszyk ten dobrze mnie charakteryzuje. Nie wierzycie, to przekonajcie się...

„Szara Dziewczynko", dlaczego nie dajesz tak długo o sobie znaku. Pragnąłbym osłodzić Twoje szare życie, więc napisz do mnie.

Miłe pozdrowienia ślę: „Smutnemu Marynarzowi", „Dumnemu Jeleniowi" i „Wytwornemu Włóczędze".

Osobne — „Białej Uajali", „Samotnej Olence" i „Stęsknionej Irce z Poznańskiego".

DLATEGO...

P. A. K. z B. Przypomina mi Pan roślinę, zasypiającą szczęśliwie w godzinach zachodu słońca. Nie smucą mnie listy Pana, ani martwią, a to dlatego, że utrzymuje je Pan w tonie dziwnie pogodnym. To, co inni przyjmują jako „malum necessarium", Pan wydaje się przyjmować naturalnie i spokojnie. Rozumiem Pana. Zdaje się, że na miejscu Pana, postąpiłabym podobnie. Rozumiem Pana i właśnie dlatego piszę do Pana w ten, a nie inny sposób. Łączę przyjazny uścisk dłoni i czekam dalszych słów.

TO NIEŁADNIE...

„Takie małe Coś z loczkami". Pierwszą część listu Twego, Kochanie, ze względu na to, aby się zbytnio nie powtarzać, nie oddaję do druku, jednakże głos Twój zaliczam na conto obozu Sympatyków, którzy pragną mnie ujrzeć na zdjęciu. Dalszą część listu zamieszczam niżej i pozdrawiam Cię, Maleńka moja, jak najserdeczniej:

„Wesoły Kozaczku", skoro zainteresowałeś się mną, dlaczego nie napiszesz? To nie ładnie powiedzieć „zainteresowałem się panią, ale niech Pani do mnie napisze". Pa! — i proszę nie gniewać się na mnie za powyższe słowa.

„Igo Czarnobrewa", ja również czuję do Pani jakiś sentyment — jak tylko znajdę chwilę wolnego czasu, odrazu do Pani napiszę. Tymczasem maleńka prośba: pomyśl czasem życzliwie o mnie, dobrze?

„Wirrycie", pragnę zawiadomić Pana, że bynajmniej nie zasmuciłam się tym: „ha, trudno"! Nie napiszę, ale mimo wszystko czuję sympatię. Trudno w to uwierzyć, prawda?

„Babiniczowi" za to, że tak rozbrajająco grzecznie pyta „czy wolno napisać?" — ślę wiele, wiele serdeczności i proszę niech Pan napisze do mnie. W wolnej chwili chętnie Panu odpowiem".

KILKA SŁÓW O SZCZĘŚCIU

„Basia". Ani wykształcenie, ani uroda, ni zbytek pieniędzy nie potrafią dać ludziom szczęścia. Tak już dziwnie układa się życie.

Nieraz dałoby się wszystko, aby wrócić szczęście, ale szczęścia nie można niczem okupić, nawet sercem. Serce może tęsknić lata całe i nie wytęskni tego jedynego, stworzonego w bujnych marzeniach młodości, szczęścia...

W ten mniej więcej sposób roztrząsa Pani kwestię szczęścia w swoim ostatnim liście. W słowach Pani jest dużo prawdy, bezwątpienia, ale szczęście to nietylko czyjeś smutne, czarne oczy, a życie to nie tęsknota za kimś, który istniał pewien czas, kochał, a później odszedł i zapomniał. Szczęście to coś trwalszego, coś, co nie mija tak szybko, ale zostaje na długo z człowiekiem. O, takiego szczęścia poszukaj sobie, „Basieńko" i uśmiechaj się do życia. Nie sztucznie i przez łzy, ale radośnie, jak najradośniej.

Listy Twoje bardzo lubię, więc pisz do mnie, dużo i szczerze, jak ostatnio.

Dopisek z listu „Basi":

„Te - Em"! Dziękuję Ci za pozdrowienia i łączę serdeczny uścisk dłoni.

„Podchorążemu z Grudziądza", „Smutnej Steni z Grudziądza", oraz wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści" z Grudziądza i Poznania zasyłam moc miłych pozdrowień".

„BIADA WTEDY, BIADA, OBOZOWI OPOZYCYJNEMU!"...

„Willy". „Nie zabierałem jeszcze głosu w „Krainie", a to dlatego, że korespondencja moja jest tak rozległa, że nie chciałbym jej jeszcze rozszerzać, pomimo, że niektóre Sympatyczki „Krainy" szczerze mnie interesują, tak ze względu na zdrowe poglądy na świat, jak i piękne wypowiadanie się w liścikach. Nie zabierałem jeszcze głosu, ale teraz to już muszę zabrać. Co tydzień czytam takie zdania, jak: „wolimy sobie wyobrażać p. Zofię po swojemu, nie chcemy widzieć jej zdjęcia", „w życiu pociąga zawsze to, co tajemnicze i nieznane"... Do stu klinów!!! Skończmy z tym. Powiedzmy sobie lepiej, ot, tak naturalnie, jak najprościej — „chcemy Cię poznać p. Zosiu, zobaczyć Twoje dobre oczy i uśmiech Twych ust, więc pokaż nam się. Chcemy i koniec!

Ja pierwszy słowa te skierowuję do p. Zofii i wypowiadam otwartą walkę obozowi opozycyjnemu, który de facto irytuje mnie trochę.

A jeżeli po mojej stronie stanie zwycięstwo, to co wtedy, p. Zosiu? — Wtedy zobamy Cię, prawda i wtedy biada, biada, obozowi opozycyjnemu!"...

Tak drogi. P. Willy, stanowisko obozu opozycyjnego zostało poważnie zagrożone. Lękam się, co to będzie!!! Czekam w napręženiu końcowego rezultatu walki i jeszcze raz zaznaczam, że bezwzględnie przychylę się do większości głosów, t. zn. stanę po stronie zwycięzców.

„HALLO! CZYTELNICZKI „MOICH POWIEŚCI"!

„Słodka Królewna — Kini". „Zgadłam, czy nie?" — Nie, „Słodka Królewno", nie zgadłaś. O tym zresztą przekonasz się już może wkrótce...

A teraz apel Twój:

„Hallo! Czytelniczki „Moich Powieści"! Która z Was pierwsza do mnie napisze? Jestem rodowitą Pomorzanką. Mieszkam w bardzo pięknej okolicy, lecz brak mi tutaj jakiejś dobrej, życzliwej przyjaciółki.

Może skreśli do mnie parę słów „Blanka", lub „Dumka". A może „Aniteńka" zechciałaby nawiązać ze mną korespondencję, „Słodka Gilda", albo „Słodka Psyche". Nie wykluczam także Sympatyków. Z przyjemnością odbiorę liścik np. od „Czarnego Olka", „Dumnego Lwa" lub „Zdobywcy serc". Ciekawa jestem, czy ten ostatni potrafiłby zdobyć i moje serduszko?"

NIE WIEM...

„Śnieżyczka" „Gwiazdeczka", „Reniu'ka". Całuję mocno buzie za szalenie miły liścik. Mimowoli przypomniały mi się lata, w których podobnie, jak Wy, Najmilsze Dziewczątka, „wkuwałam" przez cały Boży rok i tylko na święta przyjeżdżałam do domu, aby wypocząć i zabawić się wesoło...

Czy „obóz nieprzyjaciół" zwycięży — nie wiem. To okaże najbliższa przyszłość. Głosy Wasze, Kochane Dziewczynki, zanotowałam sobie.

Na zakończenie jeszcze kilka Waszych słów:

„Czarnulko ze Świecia", czy jesteś sztubaczką? Jeżeli tak, to znamy się.

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny", może napiszesz do nas? Bardzo prosimy!

„Kaziu", „Milusiu" i „Filusiu", skrobnijcie do nas parę słów — odpowiemy zaraz.

„Wytworny Włóczęgo"! „Śnieżyczka" i „Gwiazdeczka" dziękują Ci za miłe pozdrowienia, które w pełni odwzajemniają. Może napiszesz do nas?

Dlaczego „Lew" milczy?

„Pat" i „Patachon", ślemy Wam, Miłe Łobuziaki, moc pozdrowień. Chciałybyśmy z Wami nawiązać korespondencję, gdyż wesołość jest także naszą cechą.

„Smutny Stefie", przyjm serdeczny uścisk dłoni od „Śnieżyczki", która zainteresowała się Tobą".

„JESTEM BARDZO WESOŁĄ DZIEWCZYNKĄ"...

„Janki z Pelplina". Chciałabym przysporzyć Pani nieco miłych i ciekawych chwil, dlatego jak najchętniej podaję apel Pani:

„Hallo! hallo! Piszcie do mnie wszyscy, którzy pragniecie nawiązać szczerą wymianę myśli!...

„Smutna Maruto"! Ślę Pani miłe pozdronia i proszę o jakiś znak. Jestem bardzo wesołą dziewczynką i pragnę mą wesołością podzielić się skimś.

„Opuszczony Marynarzu"! Może napisze Pan do mnie? — odpowiem napewno. Łączę śliczne pa!

„Studentowi z Grudziądza" przesyłam słoneczny uśmiech. Ponadto serdeczne pozdrowienia ślę: „Promyczkowi", „Sierocej Doli" i „Białemu Tulipanowi".

APEL O LISTY I KSIĄŻKI

„Kujawiak". Powrót „marnotrawnego syna" „Krainy" powitałam z zadowoleniem. Przypuszczam, że dezercja nie powtórzy się, że teraz zostanie już nam Pan wierny do końca? Pełna wiary w powyższe, oddaję list Pana częściowo do przedruku.

„Apeluję do wszystkich Sympatyczek i Sympatyków „Krainy" o listy i książki do czytania. Muszę zaznaczyć, że jako nauczyciel mam dużo pracy, ale pozostaje mi jeszcze dużo czasu, który poświęcę chętnie na korespondencję i czytanie.

Pracuję w miejscowości, gdzie brak zupełnie bibliotek i to właśnie skłania mnie do apelowania o książki.

O sobie mogę napisać, że jestem jeszcze nie stary i podobno przystojny. Przesyłam miłe pozdrowienia z Kujaw".

OPOZYCJA PRZECIW OPOZYCJI

„Zawiedziony". Pseudonim, jeżeli jest dla Pana mało wygodny, może Pan zmienić — oczywiście. Zresztą jest to nawet wskazane, skoro czuje się Pan obecnie jak najlepiej.

A teraz kilka słów Pana w sprawie umieszczenia mego zdjęcia:

„...głosuję za tym, aby Pani jednak zdjęcie swoje w „Krainie" umieściła. Jestem przekonany, że napewno nikt się nie rozczaruje, jak niektórzy mylnie przypuszczają i o czym drugich chcą przekonać. Mnie w każdym razie nie zdołają tego wmówić i przekonać. Kto staje po mojej stronie? Wiem, że narazie większość jest po tamtej stronie, lecz to dlatego, że bardzo nieliczni swoje zdanie w tej kwestii wypowiedzieli".

KILKA SŁÓW POŻEGNANIA

„Telimena". I ja żegnam Panią z żalem, tak samo, jak żegna matka swoje dziecko, które idzie od niej w daleki świat i niewiadomo, czy jeszcze kiedyś do niej wróci.

Żegnam Panią z żalem, bo wiem, że teraz już własna rodzina będzie Panią absorbowała, a my, będziemy tylko wspomnieniami, że teraz pójdzie Pani inną drogą, niż my i inne będą zainteresowania Pani, niż nasze. Jedno mnie tylko cieszy, że znalazła Pani szczęście i w chwili, gdy piszę te słowa, to szczęście jest już Pani własnością.

Życzenia moje są krótkie, ale szczere: szczęścia, które tak pięknie uśmiechnęło się do Pani, niech starczy na wszystkie lata życia i niech do nowozbudowanego domku — zacisznego gniazdka dwóch młodych serc — nie wkradnie się żaden zły cień, owszem, niech będzie w nim jak najwięcej światła i ciszy, niech nad tym domkiem czuwa zawsze Dobry Bóg.

Życzenia moje, niech będą pewnego rodzaju błogosławieństwem dla Pani — jednej z moich najwierniejszych Sympatyczek.

Teczka Wujka Janusza

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Choć skona w sercu wspomnień rój,
Łagodząc uczuć zawiłość,
Życie popłynie, jak wody zdrój,
Jednak nie zgaśnie — pierwsza miłość.

Choć życie na inne stoczy się tory,
Popłynie niby lawina,
Ona życiowe złamie zapory —
Ta pierwsza miłość jedyna!

W sercu tłumiona przez lata całe,
Setnemi ozwie się echami,
Rozrywa pęta i rwie kajdany,
Serce otacza swemi mackami.

I pójdzie z tobą przez życie całe,
Prostą ci zrobi każdą życiową pochyłość,
Bo towarzyszka to nieodstępna
Nieśmiertelna pierwsza miłość!!!

„Zbłąkana Gwiazda".

WYSŁAŁEM LISTOWNIE

„M. Chłopczyk". Wierszyk wysłałem listownie „Dziewczęciu z dalekiej Ojczyzny".

Pozdrawiam Pana i proszę uprzejmie o nadesłanie nam swego adresu, abyśmy wiedzieli dokąd wysłać Panu list.

NIE ROZUMIEM

P. L. B. — Poznań. Nie rozumiem, o co Panu w liście chodzi, proszę o jaśniejsze naświetlenie sprawy. Pozdrawiam!

POWIERZYŁEM P. ZOFJII

„Nynek". List Pana powierzyłem p. Zofii, gdyż do niej należy załatwianie wszelkich formalności, związanych z przyjęciem do „Krainy".

Miłe uściski dłoni odwzajemniam milymi pozdrowieniami.

Raj kobiet



Ten sam krój rewersów i kołnierza, w zastosowaniu do czterech modeli: ranny kaftanik dyskretnie ozdobiony haftem — sportowy, trzyćwierciowy płaszczyk w kolorze niebieskim z czerwonymi wyłogami — żakiet popołudniowy w bogaty, jaskrawy deseń — wieczorowe bolero obszyte pajetkami.

Królewska wyprawa p. Simpson

Pani Simpson, której nazwisko jeszcze niedawno było na wszystkich ustach, kupuje obecnie wyprawę i przygotowuje się do ślubnych uroczystości.

„Sunday Referee" donosi z Cannes, że tamtejszy burmistrz w wywiadzie, udzielonym angielskiemu dziennikarzowi, oświadczył, co następuje:

— Spodziewam się, że już w pierwszych dniach mają udzielę ślubu cywilnego ks. Windsor i pani Simpson.

Tymczasem z Wiednia nadeszła wiadomość, że ślub nie odbędzie się w Cannes, lecz w Wiedniu, w brytyjskiej ambasadzie. Udzieli go ambasador sir Walford Selby w dniu 2 maja. Ślub zawarty w anglikańskim kościele w Wiedniu nie byłby ważny.

Przyjazd pani Simpson do Wiednia spodziewany jest w końcu kwietnia.

Obecnie pani Simpson z gorączkowym pośpiechem przygotowuje ślubną wyprawę. W ciągu ostatnich dni odwiedziła ona szereg eleganckich magazynów w Cannes, nabyła mnóstwo najmodniejszych szlafroków z aksamitu, brokatu i jedwabi, przepiękną jedwabną bieliznę, fantastyczne ilości pończoch w „Grande Maison de Blanc", 100 par rękawiczek, odpowiednią ilość chustek do nosa i t. d.

Suknie, kostiumy i płaszcze wykona dla pani Simpson Molyneux skoro tylko ustali się moda wiosenna w Paryżu. Ponieważ dotychczas pani Simpson ubierała się wyłącznie w słynnym domu mód „Schiaparelli", ulubiona jej „Schiap" również przyczyni się do uświetnienia ślubnego „trousseau". Jak wiadomo światowej sławy Włoszka pracuje obecnie w Londynie, zaś książę Windsor wyraził życzenie, żeby przynajmniej część wyprawy wykonana była w Anglii.

W Cannes opowiadają, że p. Simpson przestała prowadzić tryb życia pustelnicy i zaczęła bywać w świecie. Jest znowuż duszą wesołych przyjęć i zabaw. Podczas obiadu wydanego na jej część w jednym z hotelów w Monte Carlo, w przypływie dziecinnej radości, zerwała się z miejsca i klaszcząc w dłonie, wezwała cyganów, którym kazała zagrać groteskę muzyczną p. t. „Tchitt, tchitt, tchitt". Jest to jej ulubiona melodia, która kojarzy się w jej wspomnieniach z pobytem zeszłego lata w Budapeszcie, kiedy to ks. Windsor, jako król Wielkiej Brytanii, odbywał romantyczną przejażdżkę po Europie.

Oczywiście na temat projektowanej wyprawy krążą tysiące mniej lub więcej prawdziwych pogłosek. M. in. opowiadają w Paryżu, że ks. Windsor w zeszłym tygodniu zamówił u słynnego Cartier biżuterie dla swej narzeczonej których wartość przekracza 200.000 funtów szterlingów. Są to przepyszne bransolety z szafirów, oprawnych w platynie oraz riwiery brylantowe i wspaniała korona wysadzana brylantami.

Podczas gdy p. Simpson zajmuje się jedynie wydawaniem pieniędzy, ks. Windsor kłopocze się, skąd je wydobyć. Jak wiadomo, pierwotne plany rządu wypłacania księciu 25.000 funtów szterlingów rocznej renty upadły wskutek gwałtownego protestu labourzystów i liberałów.

Maksimum tego co otrzyma ks. Windsor u nie przekroczy 104.000 funtów rocznego dochodu. Suma ta pochodzić będzie z wpływów, jakie daje księstwo Kornwalii.

Artystki polskie na wystawie sztuki kobiet w Paryżu

W tych dniach w Paryżu otwarta została wielka międzynarodowa wystawa prac kobiet - artystek z 15 krajów europejskich p. n. „Les femmes artistes d'Europe".

Ogółem zgromadzono na wystawie prace ponad 400 artystek europejskich. Reprezentowane są wszystkie działy sztuki czystej i zdobniczej. Dział polski, który przedstawia się dość okazale, zawiera malarstwo, rzeźbę, grafikę, rysunki, pastele i akwarele 46 artystek, reprezentujących wszystkie kierunki współczesnej sztuki polskiej z ogromną przewagą pokolenia najmłodszego, wychowanek warszawskiej i krakowskiej akademii sztuk pięknych.

W dziale malarstwa występują: nestorka malarek polskich Olga Boznańska, Michalina Krzyżanowska, Nina Alexandrowicz, Teresa Raszkowska, Z. Katarzyńska - Pruszkowska, Irena Pokrzywnicka, Pia Górska, J. Simon - Pietkiewiczowa, Maria Łunkiewiczowa, Anna Rudzka - Cybisowa, Tamara Łempicka, Albinowska, Piramowicz, N. Barcińska, A. Czarnowska, A. Halicka, Hufnaglówna, S. Lewicka, Janina Paszkowska, Marta Podoska, E. Wysocka i Barbara Skoczylasowa.

W dziale grafiki i rysunku wysuwają się na pierwszy plan prace Mai Berezowskiej. Trzy prace wystawiła Maria Obrębska po dwie: Zofia Stankiewiczówna, Janina Konarska, Wanda Telakowska i Bogna Krasnodębska, poza tym znajdujemy tu prace: Wandy Chełmońskiej, Heleny Dowkontt, Wiktorii Goryńskiej, Stefanii Krzyżanowskiej, Marii Rogowskiej i Marii Sieraczyńskiej.

W dziale rzeźby wystawiły swe dzieła: Zofia Trzcińska - Kamińska, Hanna Bick - Nałkowska i Nitschowa.

Na falach eteru ukojenia cierpiącym

(Reportaż z Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie).

Chorzy w szpitalach są najbardziej oddanymi słuchaczami Polskiego Radia. Radio stanowi dla nich jedyny kontakt ze światem, jedyną rozrywkę i jedyną wreszcie ulgę w cierpieniach. Odwiedziliśmy naszych słuchaczy radiowych w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Szpital jest zradiofonizowany. Każdy oddział posiada odbiorniki ze słuchawkami. Oddziałów jest trzynaście. Odbiorniki umieszczone są jednak tylko w salach jadalnych i stąd tylko rekonwalescenci mogą korzystać z audycyj radiowych. Z chwilą, gdy na wszystkich salach będą instalacje do słuchawek z dobrodziejstwa radia będą mogli korzystać nawet najciężej chorzy, którym głos obcy nie przeszkadza.

Kierownictwo szpitala zdaje sobie sprawę z konieczności uprzystępnienia wszystkim chorym słuchania radia. Zamierza też w miarę możności zainstalować odbiór słuchawkowy na wszystkich salach, pozostawiając głośniki tylko w jadalniach. Roboty te zostały już zapoczątkowane, a nawet na jednym z oddziałów, t. zw. chirurgicznym — ukończono. Przebudowa instalacji radiowej jest ściśle związana z kompletnym remontem szpitala, co znów zależy od kredytów. Obecnie remontuje się rocznie jeden lub najwyżej dwa oddziały, a więc przebudowa instalacji potrwa kilka lat

Zwiedzamy cały szpital. Jesteśmy właśnie na ogólnej sali męskiego oddziału. Przy łóżkach widzimy gniazdka wtyczkowe, ale słuchawek niema. Potrzebne ich około 107 par, na nabycie których szpital nie posiada funduszów.

A! jest jedna para! To ma je chory inwalida W. P. Przyniósł je ze sobą. Właśnie je obiad i z zainteresowaniem słucha audycji. Zbliżamy się do niego, by trochę pogawędzić.

— Jak pan się czuje? — pytamy.

— Znacznie już lepiej — najgorsze minęło.

— Ma pan własne słuchawki.

— A tak. Przyniosłem je z sobą. Cóżbym robił tu bez radia? Jestem abonentem od chwili powstania „Polskiego Radia". Przywykłem do słuchania. Radio stało się już dziś dla mnie rzeczą najniezbędniejszą, a tym więcej tu w szpitalu. Bodaj na kilka chwil pozwala mi ono zapomnieć o chorobie.

— Co pana w programach Polskiego Radia najbardziej interesuje?

— Muzyka, zarówno lekka jak i poważna. No i audycje wesołe, oczywiście tych zawsze chętnie słucham.

Sensem przewodnim wszystkich wogóle rozmów z chorymi jest radio. Umiłowane przez chorych daje im chwile ukojenia. To też wdzięczni są dyrekcji Polskiego Radia, wykonawcom programów, a przede wszystkim ks. Rękasowi, którego słowa przedziwnie leczą dusze ludzi chorych fizycznie.

Śledź zastępuje jarzyny

Dwaj uczeni Niemcy, badacze witamin, profesorowie Scheunert i dr. Schieblich, ustalili, że śledzie posiadają bardzo wiele witamin „C", najważniejszych za tem dla organizmu ludzkiego. Witaminy te znajdują się w dużej ilości tylko w świeżych jarzynach. Ponieważ o to jest trudno w porze zimowej, można z dużym skutkiem zastąpić je śledziem. Najwięcej witamin zawiera „mleczko".

Świat i życie

O rozwój czytelnictwa na wsi

By na polu kulturalno-oświatowym podciągnąć Polskę wzwyż, koniecznym się staje rozwój czytelnictwa

na wsi, co można osiągnąć tylko drogą dobrze zorganizowanej sieci bibliotek publicznych.

Projekt ustawy o bibliotekach gminnych, który wpłynął na porządek obrad poprzedniego Sejmu nie doczekał się realizacji. Nie mniej wszakże rzucona myśl powoli samorzutnie, powstają zarówno w kraju, niejako samorzutnie, powstają zarówno biblioteki gminne, jak i powiatowe, zwane centralami. W chwili obecnej właśnie na łamach pism samorządowych toczy się dyskusja nad tym, jaką formę organizacyjną nadać wiejskiemu bibliotekarstwu.

Są głosy, przemawiające za rozwojem niezależnych bibliotek gminnych bez żadnych nadbudówek organizacyjnych; przeważają wszakże opinie o konieczności tworzenia central powiatowych, które by poszczególne gminy zaopatrywały w książki.

Wobec braku wyraźnych dyrektyw ustawowych, rozwój bibliotekarstwa wiejskiego pójdzie prawdopodobnie dwiema drogami: na pewnych terenach kraju powstaną centrale powiatowe, w innych znów — biblioteki jako niezależne jednostki, będą tworzone przy gminach.

Samą tendencję, zmierzającą do uprzystępnienia książki najszerszym warstwom ludności włościańskiej naszego kraju, uznać należy za słuszną i godną poparcia. Jedna rzecz przy tym zwraca uwagę, a mianowicie, że przy wszystkich kalkulacjach i założeniach organizacyjnych celowo, czy przez niedopatrzenie, są pomijane biblioteki parafialne.

Wiemy, że w Polsce, teren albo obszar gminy z małymi odchyleniami — zbiega się przeważnie z terenem parafii tej samej nazwy. Przy wielu parafiach od lat dziesiątków istnieją świetnie prosperujące biblioteki z dużym wyborem książek wszelkiego rodzaju: począwszy od dzieł historycznych, a skończywszy na podręcznikach naukowych. Biblioteki te tak za czasów zaborczych, jak i obecnie w Polsce, stanowiły i stanowią bardzo poważne ośrodki rozwoju kulturalnego kraju przy czym ich istnienie nawet w minimalnym stopniu nie obciąża finansowo ludności danego terenu.

Sprawa jest poważna o tyle, że w budżecie gmin projektowane są pozycje w wysokości około 300 zł rocznie na cele biblioteczne i suma ta, jako nowe obciążenie podatkowe, będzie musiała być ściągnięta z ludności wiejskiej.

Wydaje się nam przeto słuszne — na pewnych terenach kraju — prace t. zw. gminnych komisyj kulturalno-oświatowych po prostu skoordynować z istniejącymi bibliotekami parafialnymi, albo skomulować miast zakładać konkurencyjną bibliotekę „obok" — podnieść i zmocnić bibliotekę już istniejącą. Gminie oszczędzi się przeto wydatków, zaś sama idea wiele na tym zyska.

Ani na chwilę przy tym nie wolno zapominać, że o wzroście kultury w danym środowisku społecznym decyduje nie tylko ilość, ale przede wszystkim — jakość czytanych książek. I w tym, właśnie, miejscu sprawa specjalnie staje się delikatną.

Wiemy, jakie prądy umysłowe dziś nurtują w Polsce. Znamy tendencje, zmierzające ku „dewaluacji" np. Henryka Sienkiewicza i „odbronzowiania" Adama Mickiewicza, na których miejsce kreuje się nowych hetmanów duchowych narodu spod znaku: Boy'ów, Kadenów, Słonimskich, Rzymowskich itd. itd. Istnieje przeto uzasadniona obawa, że w pewnych bibliotekach, zamiast książek uczących: bohaterstwa, poświęcenia, patriotyzmu, umiłowania Wiary i Kościoła itd. — przeważać mogą dzieła o tendencjach takich, jak: „świadome macierzyństwo", „rżnij karabinem o bruk ulicy" „Diabeł zwycięzca" itd.

Rzecz zrozumiała, że uprzystępnianie wsi tego rodzaju literatury nie tylko nie będzie kształtować umysłów najszerszych warstw obywateli Polski, ale przeciwnie: będzie je wypaczać. Stąd też sprawa formowania bibliotek publicznych na wsi nie może być pozostawiona samej sobie, ale nad całością akcji rozwoju czytelnictwa w Polsce winien być zorganizowany — przy udziale Ministerstwa W.R. i O.P. — specjalny nadzór. W szczególności za rzecz pierwszorzędnego znaczenia uważać należy to, by w formujących się gminnych komisjach kulturalno-oświatowych był zapewniany udział przedstawicieli duchowieństwa (księża prefekci) co by dawało gwarancję, że będą w porę paraliżowane poczynienia różnych panów np. z Rotary Clubów.

Jedna książka może dać korzyść, a inna — przynieść niepowetowaną szkodę. I na to trzeba zwrócić szczególną uwagę.

M. Cz.

TADEUSZ RAWICKI

Czarnooka

NOWELA

Przez sen czuję lekkie muśnięcie na twarzy, niby dotyk cośkolwiek zimnej lecz delikatnej, jak aksamit, dłoni. Momentalnie otwieram zaspane powieki. Patrzę...

Sprawczyni nagłego przebudzenia — kobieca dłoń — nie zdążyła się jeszcze ukryć w skórkowej rękawiczce. Chwytam ją na gorącym uczynku. Jest to dłoń młodej, bardzo ładnej panienki.

Na moment tonę źrenicami w jej oczach czarnych jak węgiel. Nieznajoma wytrzymuje moje spojrzenie, uśmiecha się nieznacznie i mówi:

— Byłby pan zaspał. To już Zakopane.

Jednocześnie znika w natłoczonym korytarzu pullmana.

Jak szalony chwytam walizkę. Jestem już na peronie. Biegnę przez tunel dworcowy. Rozglądam się. Nie widzę nigdzie czarnookiej panienki.

Przed sobą widzę miasto gór — Zakopane — w zimowej szacie.

* * *

Jestem sam w pokoju i odpoczywam po trudach podróży. Bezmyślnie śledzę kołujące nad głową smugi sinego dymu z papierosa. Wtem ktoś energicznie puka do drzwi.

— Proszę!

Okrzyk zdziwienia i powitania zarazem dławię w zarodku, ściśnięty kleszczami potężnych ramion przybyłego.

— Romku, do stu piorunów, puszczaj — krzyczę.

Uścisk słabnie. Siadamy.

— Więc znowu przyjechałeś? — mówi Romek, przypatrując mi się uważnie.

— Jak widzisz! — potwierdzam — tylko skąd u licha dowiedziałeś się tak szybko o moim przybyciu? Przecież ci nic nie pisałem o tem, że się tu zjawię?

— Nie pisałeś, a jednak pięć minut po przyjeździe kuriera krakowskiego już wiedziałem...

— Zatem widziałeś mnie, wysiadającego z pociągu? — badam.

— Bynajmniej!

— Więc może słyszałeś od kogo?

— Tak!

Momentalnie przypominam sobie zdarzenie z czarnooką. Patrzę na Romka, a on również na mnie i śmiejemy się.

— Znasz Romku tę kobietę? — pytam.

— Naturalnie! To moja dobra znajoma z ławy szkolnej. Tylko, psiakrew, bardzo niedostępna. A ładna bestyjka. Zwłaszcza te czarne oczy. Kto je raz ujrzy — musi się zakochać!

Przytakuję w milczeniu głową.

Tymczasem Romek zaciąga się dymem i mówi dalej:

— Wiedziałem, że ona przyjedzie i wyszedłem na peron. Patrzę. Jak warjatka wyskakuje z wagonu. Nie wita się nawet ze mną, tylko nagli.

Nikniemy za drzwiami bufetu drugiej klasy. Tam opowiada mi ciekawą historyjkę o zbudzeniu pewnego mężczyzny. Zrozumiałem teraz jej pośpiech przy wysiadaniu. Przyczem owego śpioszka tak plastycznie opisała, że nie mam wątpliwości, iż ty nim byłeś, Jurku — kończy.

Czuję, że lekki rumieniec powleka mą twarz. Nerwowo zapalam papierosa i okrywając się chmurą dymu pytam:

— Czy jeszcze coś więcej o mnie mówiła?

— Owszem! Bardzo jej się podobasz.

* * *

W oddali bieleją garby gór. Sunę ku nim na nartach, wspinając się po stosunkowo łagodnem zboczu. Coraz wyżej i wyżej. Wreszcie osiągam szczyt. Przez chwilę zachwycam się cudem górskiej panoramy, a potem...

Słyszę tylko świst wiatru i czuję opór zimnego powietrza.

Piorunem zjeżdżam wdół.

Szczęśliwie „ląduję" na małej polance, otoczonej z trzech stron kosodrzewiną. Zacisznie tu i cieplej.

Oglądam się. Moim torem pędzi na nartach jakaś kobieta. Jest tuż. Hamuje bieg, pochyla się na małym zakręcie i przystaje.

Poznaję ją od razu. Te same czarne, jak węgiel, oczy.

Czarnooka!...

Stoi przede mną cudna z zarumienioną od wiatru i zmęczenia twarzą, trochę zmieszana.

Pan tutaj? — mówi pierwsza — nie spodziewałam się spotkać pana tak szybko? Wszak zaledwie przed dwoma godzinami wysiadł pan z pociągu?

— Wysiadłem! A pani?

— Ja również.

— Zatem...

— Popełniliśmy jeden i ten sam grzech, spiesząc bez wypoczynku w teren — mówi z uśmiechem.

— To chyba nie jest grzechem — tłumaczę — gdy takie świetne warunki dla nart

— To prawda! Podoba mi się pan, jako sportowiec.

— Dziękuję za komplement. A jako mężczyzna?

Czarnooka patrzy uparcie w śnieg i milczy.

— Proszę odpowiedzieć i powtórzyć to jedno zdanie, które powiedziała pani do... Romka, — nalegam.

Podnosi na mnie swe czarne źrenice i pyta:

— To pan wie o wszystkim?

— Niestety, tak, proszę pani.

— W takim razie powtarzam: podoba mi się pan również jako mężczyzna.

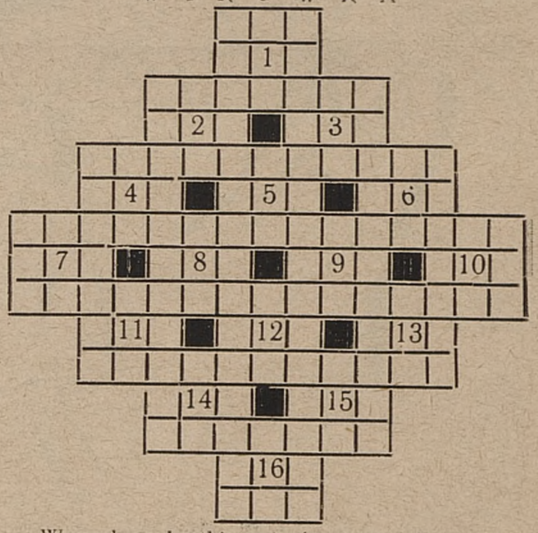
Szczęśliwy, ściskam jej delikatną dłoń i patrzę w śliczne oczy.

Potem suniemy pośród skarłowaciałych sosen i smreków, mówiąc o cudzie gór, sporcie i o miłości, która... zbliżyła nas.

Koniec!

CHWILA ZASTANOWIENIA

W I R Ó W K A



W podane kratki wpisać wirowo (w kierunku zegarowym) 16 ośmioliterowych wyrazów. Początek słów w kratkach, oznaczonych kropkami.

Znaczenie wyrazów: 1) Sławny, starożytny ród rzymski. 2) 2) Najlotniejsza część ropy naftowej. 3) Uździenica na konia. 4) Słynny pisarz amerykański, autor „Sylwii". 5) Miasteczko na Ukrainie, nad Horyniem. 6) Rodzaj tłuszczu. 7) Krótki, odrywany ton skrzypiec, należący do specjalnych, wirtuozowskich efektów. 8) Związki organiczne o bardzo złożonej budowie, występujące w organizmach zwierzęcych i roślinnych. 9) Ozdoba. 10) Wyłożenie dolnej części ściany deskami, lub płytkami z marmuru. 11) W starożytnym Rzymie: oddział stu ludzi. 12) Nazwa doktryny, według której dusza ludzka jest śmiertelna. 13) Naczynia z włoskiej gliny palonej, pokrytej specjalną emalią. 14) Zakład naukowy. 15) Obrabiarka do metali, drzewa, lub kości. 16) Stan płdn.-wsch. w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przy ujściu rzeki Missisipi.

BILETY WIZYTOWE

pod. M. T.

Hania Rystic

Ira de Ironeja

W. Orynyko

W jakich miastach mieszkają właścicielki powyższych biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 12 marca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 8 „Moich Powieści": Arytmograf historyczny: 1) Psków. 2) Rokitna. 3) Staryca. 4) Miechów. 5) Wąchock. 6) Horodło. 7) Wiślica. 8) Żytomierz. Całość: Kircholm. Szarada: Aligatory.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: W. Safianowski z P., J. Klimaszewski — Poznań, Janina Patokówna — Ostrowia Mazowiecka, Józef Kołczankowski — Warszawa, Irena Kołczankowska — Warszawa, Stanisława Małecka — Wilno, Anna Zuchecka — Prużana.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Janinie Patokównie z Ostrowi Mazowieckiej i J. Klimaszewskiemu z Poznania.

„Ma" skakała z radości, ojciec mruczał i charczał, potem cała familia udała się do jadalni, aby biednemu hrabiemu nie dać na siebie czekać.

Obie panienki zachwycone były dyplomacją hrabiego, który chcąc wypróbować ich miłość zajechał incognito.

Każda z nich wyobrażała sobie w duchu pałac hrabiowski, w którym będzie mieszkać ku zazdrości przyjaciółek i szukały w myśli miejsc, gdzie na bieliźnie, na meblach i naczyniach, każą sobie zrobić koronę 9-cio pałkową.

W sali jadalnej powitały panny Leona jak starego znajomego i bez ceremonii usiedli wszyscy przy nim.

Zamówili sobie tę samą potrawę, co on, ale obie zapewniły równocześnie, że to jest ich ulubiona potrawa. Jeżeli już przedtem go kokietowały, to teraz czyniły to w sposób wprost rzucający się w oczy i prawdziwie wstrętny.

Zachwycały się Niemcami i nie dużo brakowało, a byłyby się głośno zachwycały samym Leonem. Nie kłóciły się naturalnie przy nim, bo Inez pouczyła siostrę, że to zawsze robi na obcych bardzo fatalne wrażenie.

Fides milczała więc, ale od czasu do czasu rzucała mu spojrzenia, które on sobie w ten sposób tłumaczył, że druga panna Snob patrzy zezem.

„Ma" czasem brała udział w rozmowie tytułując go hrabią, za którą to niedyskrecję Inez rzucała na nią spojrzenia pełne gniewu.

„Pa" zachowywał się zupełnie cicho. Zjadł z apetytem wszystkie potrawy wykazane w menu i szukał specjalnych potraw, któreby mógł sobie kazać podać, a gdy go kto o co zapytał, odpowiadał tak zręcznie, że nie można było wiedzieć, czy on mówił tak, czy nie i nigdy się nie skompromitował nieświadomością lub głupotą.

Gdy po tak spędzonym wieczorze wrócił Leon do swego pokoiku, miał to niejasne przeświadczenie, że zobowiązał się nazajutrz z państwem Snob iść zwiedzić kilka starych pałaców, z panną Inez grać w szachy, a z panną Fides czytać Szekspira, odbyć z nimi wycieczkę na wodzie i że w ogóle rodzina Snob całkiem go wzięła w opiekę.

Nie wiedział dlaczego!

Panny Snob we wspólnej sypialni długo jeszcze rozmawiały o nim.

Fides skarżyła się gorzko, że Inez zabrała jej sposobność rozmówienia się z Waldauem.

— Jeżeli myślisz — zakończyła wśród łez — że w ten sposób uda ci się twojemi intrygami zabrać mi serce hrabiego, to ja zostanę hrabiną, a ty będziesz miała figę z makiem.

— Głupia małpo — irytowała się panna Inez. — Ty jesteś całkiem ślepą? Czy żeś nie widziała, że on oka nie spuszczał ze mnie? Zresztą przyszłość pokaże, która z nas jest tą wybraną — rzekła z triumfem.

— Tak jest, przyszłość pokaże, ale nie tak, jak to sobie wyobrażasz — odpowiedziała Fides.

Potem umilkły obie siostrzyczki, nie dlatego, by znudziły się sprzeczką, lecz dlatego, że wolały z osobna myśleć o przyszłym szczęściu małżeńskim.



Na uroczystości koronacyjne w Londynie skonstruowano oryginalny aparat, za pomocą którego będzie można obserwować uroczystości koronacyjne, nawet stojąc w tłumie.

ROZDZIAŁ LXXVIII.

Na wspólnych spacerach i wycieczkach upływały Leonowi dni następne. Chodził ciągle ze Snobami, naturalnie na ich wyraźne żądanie.

Opowiadał im, że jest sekretarzem jednej wielkiej pani i myślał, że dumni Anglicy wobec tego przestaną go napastować swoją uprzejmością.

Tymczasem Inez z wielkim patosem odpowiedziała, że nie bierze pod uwagę stanowisko, tylko człowieka, a pani Snob mrugała na niego z taką głupią miną, że nie wiedział, co to ma znaczyć.

Tak więc przebywał z nimi często. Kokieteria panien Snob wydawała mu się śmieszną, ale wszystko mu było jedno, byle tylko spędzić czas oczekiwania na baronową.

Zresztą był za delikatny, by w jakikolwiek sposób robić im nadzieję, wyświadczył im tylko drobne usługi i zwyczajne grzeczności, które jednak panny Snob przyjmowały jako oznaki najgorętszej miłości.

Vittorina takżecoraz częściej krzątała się w pokoju Leona w czasie jego obecności i wyraźnie go kokietowała, ale że była młoda, przystojna i nie głupia, więc Leon przyjął to zupełnie inaczej, niż kokieterię tamtych dwu starych panien.

Vittorina także coraz częściej krzątała a gdy ją zagadywał, odpowiadała całym potokiem dźwięcznych słów, które upiększała giestami pełnymi wdzięku.

Uczyła go wymawiać niektóre wyrazy i śmiała się z twardej jego wymowy. Mimo tej kokieterii, była jednak trochę nieprzystępna.

Gdy Leon na migi prosił ją, aby mu powiedziała, jak jest po włosku całus, i gdy go nauczyła, a on później rzekł: daj mi całusa — uciekła.

Była taka chytra, że wnet podpatrzyła zabiegi Angielek około zyskania serca Leona. Ze złośliwością wprost okrutną, umiała podnieść jeszcze ogień podstarzałych panienek.

Pewnego razu, gdy panna Inez była sama, przystąpiła do niej i rzekła szeptem:

— Przechodząc koło pokoju tego młodego Niemca, słyszałam, jak mówił przez sen: „O Inez, Inez, kiedy odwzajemnisz moją miłość!" Zdaje się, że on jest zakochany; nie wie pani, kto jest ta Inez? — zapytała niewinnie.

Wiedziała ona bardzo dobrze, kto to jest, ale tak chytrze i naiwnie umiała grać komedię. Panna Snob zresztą była taka naiwna, że figiel Vittoriny udał się.

— Jesteś dobra dziewczyna, — odpowiedziała jej Inez bardzo zadowolona, nie odpowiadając na jej pytanie. — Gdybyś znowu coś słyszała, to powiedz mi!

To mówiąc, wsunęła jej pieniądz jakiś w rękę.

Wprawdzie była bardzo skąpa, ale zdecydowała się na ten ciężki krok, aby zapewnić sobie pożądane wiadomości o Leonie.

Chytra Włoszka pieniądz schowała do kieszeni i poszła natychmiast do drugiej siostry.

— Proszę pani — szepnęła jej tajemniczo — ten młody Niemiec mówił dzisiaj przez sen: „Fides, Fides, kiedyż odwzajemnisz moją miłość!" — kto to może być ta Fides, w której on się kocha?

— Fides, mówił? — pytała stara panna z radosnym oczekiwaniem, a czyś dobrze słyszała? Może mówił Inez?

— Nie, słyszałam najwyraźniej, że mówił Fides! — kłamała Włoszka — to drugie imię, które pani mówi, takiego nigdy w życiu nie słyszałam.

— A więc teraz już nie ma najmniejszej wątpliwości — zawołała z triumfem panna Fides i długi jej kościsty nos zaczerwienił się ze wzruszenia, gdyż policzki jej dawno zapomniały przybierać barwę niewinności.

Więc ja jestem jego wybranką, a dla tamtego stworzenia, które mu się zawsze narzuca, ma naturalnie tylko pogardę dobrze zasłużoną.

Mówiąc to, myślała naturalnie o swojej siostrze.

— Vittorina! — rzekła później do służącej — ubawiłaś mnie swojem opowiadaniem, ale oto masz za uprzejmość.

Była ona bardziej skąpa, niż Inez, więc jeszcze dłużej szukała pieniędzy; kilka monet miała w ręku i nie mogła się zdecydować, którą dać, aż wreszcie po długim wahaniu zdecydowała się wsunąć jej większą srebrną monetę w opaloną, ale zgrabną rączkę.

Vittorina oddaliła się z uśmiechem, a w oczach jej przyczajone były jakieś diabelskie chochliki.

Fides zostawszy sama, chodziła po pokoju w ogromnym wzruszeniu.

A więc to prawda — szeptała przyciskając kościste ręce do chudej piersi, — on mnie kocha; zostanę hrabiną, a ona będzie starą panną i pęknie ze złości! Żółtaczki dostanie. Ale dlaczego on taki trwożliwy, że nic nie mówi? — pytała się dalej — dlaczego nie wyzna wszystkiego? Widać, że nie ma odwagi myśleć o wzajemności. Nie ma innej rady, tylko będę musiała uprzedzić jego nieśmiałość, bo inaczej ta chytra kreatura gotowa go jeszcze wciągnąć w swoje sidła.

Panna Fides długi czas jeszcze tak rozmyślała w swoim pokoju i knuła plany, podczas, gdy w tym samym czasie panna Inez z drugiej strony hotelu na werandzie myślała sobie:

A więc nie omyliłam się, jego serce należy do mnie, a tamtym stworzeniem on tylko pogardza. Ale dlaczego jednak zwleka z oświadczynami? Trzeba go uprzedzić i jakoś usunąć tę jego nadzwyczajną skromność.

Właśnie namyśliła się nad tym, gdy Leon wszedł na werandę hotelową. Szybkim rzutem oka przekonała się, że nikogo więcej nie ma na werandzie i postanowiła wykorzystać chwilę.

Udała więc, że go nie widzi i dopiero gdy ją zagadnął, zadrżała i usiłowała się zarumienić, co jej się nie udało.

— O, pan Waldau — uśmiechnęła się uroczo — właśnie myślałam o panu!

— Rzadki to honor dla mnie — odpowiedział Leon obojętnie.

— Rzadki? — zaakceptowała silnie panna Inez, — o, nie! — zawołała trzęsąc głową. — O, nie! — zawołała raz jeszcze i zawstydzona spuściła oczy.

Leon był tak zajęty swymi myślami, że nie zauważył dziwnego zachowania panny Snob. Ona milczenie jego wytłumaczyła w sposób dla siebie korzystny i rzekła drżącym głosem:

— Panie Waldau, poco to zagadkowe milczenie? Dlaczego pan mnie i siebie dręczy? Czy wciąż pan jeszcze wątpi? Czy nie dałam panu dość dowodów mojej miłości? Wiedz zatem, mój najdroższy, że twoja Inez kocha cię nad życie!

Z tym wyznaniem rzuciła mu się na szyję.

Leon przestraszony, usiłował się wydobyć z jej objęć, ale słodki ciężar nie ustępował. Przerażony wyjąkał, że to musi być jakieś nieporozumienie.

Właśnie w tej chwili młodsza panna Snob skończyła układanie planów i wyszła na werandę w nadziei, że spotka Waldaua. Któż opisze jej zdumienie, gdy zobaczyła Leona w objęciach siostry. Z furią rzuciła się na Inez, która z przestrachu puściła Leona z objęć.

Ze ściśniętymi pięściami stanęła Fides przed rywalką i wrzeszczała z gniewem:

— Nędzne stworzenie, a więc naprawdę udało ci się chytrością go usidlić?

— O, najdroższy! — rzekła potem z wyrzutem do Leona — jak mogłeś zapomnieć na chwilę o swej Fides?

To mówiąc rzuciła mu się na szyję.

Nim Leon w najwyższym stopniu przestraszony, mógł się wydostać z jej ramion, wydarła go z jej objęć Inez.

— Podła kreaturo! — krzyknęła — on jest moim narzeczonym i żadna moc na świecie mi go nie wydrze, a cóż dopiero ty.

Ależ, moje panie, zaklinam was! — zawołał Leon ze strachem — ja przecież nie dałem żadnego powodu do takiego nieporozumienia, ja jestem żonaty!

Ta niespodziewana wieść była ciosem dla obu panien Snob. Obydwie równocześnie zemdlały, obie jednak miały tyle przytomności umysłu, że mdlejąc, padły na piersi młodziana.

Leon stał, nie wiedząc co począć z tym słodkim, podwójnym ciężarem. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszła baronowa Wimpfen.

Zobaczywszy tę czułą scenę na chwilę stanęła osłupiała, a potem wybuchnęła głośnym, serdecznym śmiechem i śmiała się bez przerwy.

— Darujcie państwo, że przeszkadzam. — rzekła. — Jedna ze służących powiedziała mi, że tu znajdę pana Waldaua, ale nie byłabym tu wchodziła, gdybym była wiedziała, że w tak czułej scenie państwu przeszkodzę.

Panny Snob natychmiast po wejściu baronowej zerwały się, porządkując szybko garderoby i fryzury. Inez zwróciła się do baronowej, która pokładała się ze śmiechu mówiąc z godnością:

— Śmiech pani jest zupełnie nie na miejscu. Okropna wiadomość, którą otrzymałyśmy przed chwilą, sprawiła że zemdlałyśmy, a pan Waldau postąpił, jak gentelman, podtrzymując nas, abyśmy nie upadły.

To rzekłszy, z godnością wyszły.

Leon natomiast pochwycił rękę Loli i rzekł, okrywając ją gorącymi pocałunkami.

— Wybawiłaś mnie z ogromnego kłopotu. — Po czym zupełnie zgodnie z prawdą, choć także ogromnie złośliwie, opowiedział jej co się zdarzyło.

Baronowa wciąż się jeszcze śmiała i to nie tylko z tych pań, ale i z niego, gdyż zastała go w sytuacji w istocie ogromnie śmiesznej.

— Niewierny! — wołała wciąż jeszcze się śmiejąc — sądziłeś, że przyjadę dopiero jutro, a poza moimi plecami romansowałeś z pięknymi paniami i nie dość ci było jednej, ściskałeś dwie od razu. O! ty niebezpieczny człowieku!

Byłaby dalej jeszcze z niego szydziła, ale na nowo zaczęła się śmiać tak serdecznie, że nie mogła słowa wymówić.

Tymczasem Inez i Fides przyszły do domu gdzie „Pa" i „Ma" spali sobie w najlepsze.

„Pa" zakrył sobie twarz jedwabną chustką i chrapał przeraźliwie, podczas gdy „Ma", drzemiąc, kiwała głową tak, że jej ta pożyteczna część ciała omal nie zleciała.

Zbudziło ich wejście córek, które wleciały do pokoju jak szalone.

Na środku salonu stanęły naprzeciw siebie, popatrzały sobie przez chwilę w oczy, nic nie mówiąc, aż dopiero Inez pierwsza zawołała.

— Nędznico!

— Zdrajczyni! — odpowiedziała Fides w tonie równie pogardliwym.

— To twoje dzieło! — krzyczała starsza.

— Tyś jest przyczyną mego nieszczęścia — zawołała młodsza.

W tym tonie kłótnie trwały przez pół godziny, przez który to czas „Pa" i „Ma" niespokojnie dreptali naokoło nich, darmo prosząc o wyjaśnienie, co stało.

Nareszcie Inez z tragiczną miną stanęła przed ojcem i zawołała wskazując na Fides:

— Ta nędzna, zdrajczyni oderwała ode mnie hrabiego przez podłą interwencję. Ona jest winną mego nieszczęścia.

— Nie! — wrzeszczała Fides — to ona mnie jego zabrała, ona mnie unieszczęśliwiła.

— O Boże, o Boże — lamentowała „Ma", domyślając się już trochę o co chodzi — więc już nic z tym hrabią? Nie ożeni się z żadną z was?

— I to stworzenie nie będzie hrabiną — powiedziała Inez, patrząc z pogardą na Fines.

— I to stworzenie także nie będzie hrabiną — rzekła z wściekłością Fides, naśladując ruch siostry.

O, więc obie nie będziecie hrabinami? — lamentowała pani „Ma" — a tak się to ładnie zaczynało!

A co gorsza — odpowiedziała Inez, że zblamowałyśmy się okropnie i że dziś jeszcze musimy odjechać.

Pani „Ma" nic już nie mówiąc, usłuchała rozkazu energicznej córki i zaczęła pakować, poplakując nad straconymi nadziejami małżeństwa swej córki z hrabią.

„Pa" kilka razy otworzył usta, aby coś powiedzieć, namyślił się jednak, że lepiej będzie nic nie mówić.

Tego samego dnia wsiadła rodzina Snob do gondoli przed hotelem, by wyjechać z Wenecji.

Cała służba hotelowa zgromadziła się na dole po napiwek, brakowało tylko Vittoriny.

Panny Snob wiedziały dlaczego i opuściły hotel z miną zdetronizowanych królewien.

ROZDZIAŁ LXXIX

Powrót syna i spadkobiercy

W domu państwa Hai szło wszystko zwykłym trybem, bo obecność chorego nie wywołała wielkich zmian, gdyż nie opuszczał on jeszcze łóżka.

Mimo, że pani Hai udawała przed światem, że sama pielęgnuje młodego nieznajomego, nie troszczyła się wcale o niego i zostawiała Adzie całą troskę pielęgnowania i doglądania chorego.

Ada zaś była uosobieniem sumienności i poczucia obowiązku i Arnold nie mógł sobie życzyć lepszej samarytanki, niż tę zahukaną, maltretowaną dziewczynę.

Dla pani Hai było to wielką pociechą, że choremu nie było wolno prawie nic jeść i cieszyła się, że nie będzie jej wiele kosztował, lecz przeciwnie, wielką korzyść jej przyniesie.

Była bowiem przekonaną, że gdy markiz wyzdrowieje, zrewanżuje się sowicie za udzieloną pomoc i z niecierpliwością i chciwością oczekiwała tej chwili.

Ale cierpliwość jej wystawiona była na ciężką próbę, bo tydzień już minął, a Arnold chwilami tylko odzyskiwał przytomność i nie wiedział jeszcze, gdzie się znajduje.

Ósmego dnia po tragicznym zajściu, w domu pod „Złotym aniołem", panował wielki ruch z powodu otrzymanej w południe depeszy.

Była ona krótka, zwięzła:

„Aptekarz Hai, Złoty anioł, Wiedeń

Przyjeżdżam dziś. Teobald".

Ale dla pani Hai słowa te były anielską pieśnią. Namyślała się nawet przez chwilę, czy by nie dać posłańcowi telegraficznemu małego napiwka, powstrzymała się jednak, twierdząc, że to demoralizuje podobnych ludzi.

Przyzwyczajona dzielić się niezwłocznie każdą nowiną z Idą, wleciała jak bomba do pokoju chorego i trzymając telegram w ręku, jak chorągiewkę, krzyczała głośno:

— Teobald przyjeżdża dziś! Ida, chodź do kuchni, musimy robić pączki, bo Teobald bardzo je lubi!

Na ostry głos tej zacnej matrony pacjent zerwał się, wołając w gorączce:

— Desirée, Desirée Saint Cir!

Gdy pani Hai usłyszała to nazwisko, zielone jej oczy zaświeciły się.

— Co on mówi? Kogo on ma na myśli? — spytała i nozdża jej rozdęły się, a nos, zdobiący jej górną wargę, najeżył się tak, że pani Hai wyglądała jak kot drapieżny, który się chce rzucić na swoją ofiarę.

— On często powtarza to imię — odpowiedziała Ida.

Aptekarzowa rzuciła się na kanapę tak fertycznie, że wszystkie sprężyny zatrzeszczały.

— Przecież musisz rozumieć, co on mówi — wołała — tyle nas kosztowało twoje wykształcenie, pokaż przynajmniej co umiesz. Co on mówił o tej kobiecie, mów! Chcę wiedzieć!

Ida zauważyła ze strachem, że obecność pani Hai niepokoi chorego i aby się jej pozbyć, powiedziała jej:

— On majaczy bardzo często, że tej Desirée wyrządzono jakąś straszną krzywdę i że on ją musi odszukać, aby jej tę krzywdę wynagrodzić.

— On spewnością nie jest winien temu — odpowiedziała pani Hai z krótkim niemiłym śmiechem, bo on wtedy mógł mieć najwyżej ośm lat.

— Czy pani go znała? — spytała Ida zdziwiona.

— Co to ciebie obchodzi — ofuknęła ją pani Hai — a czy on nie mówił jakiego rodzaju krzywdę jej wyrządzono?

— Nie, mówi bardzo niewyraźnie — rzekła Ida.

— Uważaj dobrze, potem powiesz mi wszystko — upominała ją pani Hai. Do kuchni dziś nie potrzebujesz przychodzić. Pamiętaj, że teraz masz sposobność, aby mi się odwdzięczyć za wszystkie dobrodziejstwa, jeżeli mi powiesz, co on mówi o tej Desirée.

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego ona panią tak zajmuje? — spytała Ida.

Jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć, to wiedz, że mi jest ona winna pieniądze — mówiła pani Hai z fałszywem śmiechem. — Jeżeli masz iskrę poczucia sprawiedliwości, pomożesz mi ją wyszukać.

Ida przyrzekła prędko, jak w ogóle wszystko przyrzekłaby teraz, aby się tylko pozbyć pani Hai, której obecność i głośna rozmowa źle działały na chorego.

— Boże, tyle mam do czynienia! — biadała pani Hai. — A to klęska, żem sobie narobiła kłopotu z tym obcym diabłem. Na te leniwe służące nie mogę się spuścić i na ciebie nie mogę liczyć, bo ty cały Boży dzień tutaj siedzisz.

Spojrzała na nią z wyrzutem, jak gdyby nie pamiętała o tym, że sama jej kazała być przy chorym.

Byłaby jeszcze Bóg wie co nagadała; na szczęście przypomniała sobie, że coś ma do roboty w kuchni, pobiegła więc tam, ku wielkiemu zmartwieniu służącej. Pani Hai właśnie podkasała rękawy, żeby zacząć wałkować ciasto, gdy nagle czujne jej ucho usłyszało, że przed bramą domu stanęła dorożka.

Otworzyła drzwi.

Po schodach, powoli, bez pośpiechu wchodził młody mężczyzna, bardzo podobny do niej.

Nie zastanawiając się nad tym, że ma rękę oblepioną ciastem i fartuch omączony, rzuciła się pani Hai na przybyłego i uścisnęła go z radością.

— Mamo, mamo — mówił przez nos przybysz — widocznie niezadowolony.

— Ach, Teobald, jakie szczęście, co za radość! — wołała pani Hai. — Jakie piękne masz wąsy, a jak elegancko wyglądasz. Wszystkie znajome będą mi zazdrościły takiego pięknego syna.

— Kto mi zdoła oczyścić to ubranie — odpowiedział przez nos na te czułości synek, rzucając spojrzenia pełne zgrozy na mączne plamy na ubraniu.

— Haniu! Tereniu! — zawołała pani Hai tak przeraźliwie, że na ulicy było słychać.

Dziewczęta przybiegły do niej i pani Hai posłała je po pakunki do dorożki. Ledwie jednak uszły kilka kroków, zawołała Hanię nazad i kazała jej przynieść szczotkę do czyszczenia, a gdy Hania poszła po szczotkę, zawołała na nią, aby napaliła w piecu.

Syn zrobił jej uwagę, że wydając tyle różnych dyspozycyj naraz, zawraca tylko służbie głowy.

— E, co tam! — zawołała pani aptekarzowa — niech się trochę prędzej ruszają, przecież są jeszcze młode. Tereniu! — zawołała w tej chwili na służącą — idź powiedz panu, że panicz przyjechał!

— Ech, po co się spieszyć! — powiedział Teobald.

— Widzę, że nie tęsknisz za ojcem. Pani Hai uważała to za zły znak.

— Czyś narobił długu? — zapytała marszcząc brwi.

— Ach, jaka mama śmieszna — odpowiedział Teobald niezadowolony — naturalnie, że porobiłem długi. Czy mama myśli, że można się liczyć z każdym guldenem, jak się żyje w lepszym towarzystwie. Kto chce z hrabiami i baronami przestawać, jak z równymi, ten musi mieć pieniądze na to, a przecież tych parę guldenów, coście mi przysyłali, nie można nazwać pieniądzami!

— Ale ojciec przecież taki był hojny dla ciebie — rzekła pani Hai, trochę ośmielona.

Jej synek był bowiem jedynym człowiekiem, przed którym ta straszna baba miała respekt i gdy tylko trochę podniósł głos, milkła zaraz.

Teraz zjawił się w pokoju pan Hai senior, i uścisnął syna serdecznie i z ogromną radością.

Teobald dość chłodno przyjął jego czułości.

Mówił, że po podróży jest bardzo zmęczony i głodny, jak wilk.

— Czy mama ma coś do zjedzenia? — spytał leżąc na troskliwie strzeżonej kanapie w obłoconych trzewikach.

— Naturalnie — odpowiedziała pospiesznie — dostaniesz rosół z knedlami, kurczątku smażone i słodką leguminę. Muszę tylko pójść do kuchni, aby te niecponie nie popsuły jedzenia.

Właśnie chciała wybiec do kuchni, gdy cicho otworzyły się drzwi i weszła Ida.

Mimo starej, cerowanej sukni, wyglądała bardzo ładnie i dystyngowanie. Teobald zerwał się z kanapy, ukłonił się nadzwyczaj grzecznie, mówiąc:

— Niech mama będzie łaskawa przedstawić mnie tej pani.

Ledwie to powiedział, pan i pani Hai zaczęli się śmiać do rozpuku.

— Ha, ha, ha! — śmiał się pan Hai — pyszny dowcip.

— He, he, he! — śmiała się pani Hai — czy jesteś ślepy, Teobaldzie?

— Nie rozumiem was — rzekł Teobald trochę urażony — co to ma znaczyć?

Ida zarumieniona po uszy, rzekła cicho do pani Hai:

— Włóczka mi wyszła, proszę mi dać świeżej!

— Na masz! — rzekła pani Hai, rzucając jej kłębek.

Potem śmiała się dalej w sposób grubiański.

— Że on też Idy nie poznał, a tyle jej dawał szturchańców. Ha, ha, ha!

— To ma być ta niezgrabna, brzydka Ida? — zawołał Teobald — to ma być ta zielona żaba? Jeżeli to jest prawda i jeżeli sobie ze mnie nie żartujecie, to muszę powiedzieć, że nigdy się z brzydkiej poczwarki nie wyłonił piękniejszy motyl.

No, cóż, nie przywitasz mnie siostro? — spytał podając jej rękę — wiem, że byłem złym, nieznośnym bębnem i żem cię nieraz dręczył, biedny, łagodny gołąbeczku, ale wybacz mi, bo ja przyznaję się do winy i szczerze żałuję!

Nic nie pozostawało jej uczynić, jak tylko podać mu rękę!

On zatrzymał jednak jej rękę w swojej dłoni i rzekł:

— Ze swoim bratem, chociaż przybranym, możesz się nawet pocałować.

Teobald — zawołał z wściekłością pan Hai — co ty robisz? Co to za nowe pomysły!

— Dlaczego się nie mam z nią pocałować? — spytał Teobald.

— Bo ja na to nie pozwolę, abyś w moim domu rozpoczynał miłostki — krzyczał z wściekłością pan Hai.

A poza domem pozwala tato? — spytał Teobald impertynencko.

— Czegoż tu stoisz jeszcze, głupia gąsko — zawołała pani Hai na Idę. — Czy nie widzisz, żeś już poróżniła ojca z synem. Zabieraj się natychmiast.

Ida byłaby nie wiem co za to dała, żeby się mogła stąd wydostać, ale Teobald trzymał tak mocno jej rękę, że mu jej nie mogła wyrwać, choć wytężyła wszystkie siły.

— Czy nie słyszysz? — krzyknęła pani Hai gniewnie.

— Proszę mnie puścić, pani Hai — prosiła Ida.

— „Panie Hai?“ — powtarzał Teobald — czyś już zapomniała, jak ja się nazywam!

— Puszczaj mi ją natychmiast — zawołał teraz wściekły stary Hai — ona ma robotę i nie można jej zatrzymywać.

— Robotę ma? — pytał Teobald — a to wstyd i hańba, aby takie piękne rączki musiały pracować. Takie rączki stworzone są tylko po to, by je całować.

— Tegoś się nauczył przez 3 lata w Paryżu — spytał aptekarz — widzę, że musiałeś więcej bywać na bulwarze, niż w pracowni.

— Naturalnie, żem studiował dokładnie życie i na bulwarach — odpowiedział Teobald spokojnie — kto przyjeżdża do Paryża po to, aby się zakopać w mieszkaniu, ten jest osioł!

— Już gotowe! — zameldowała teraz Hania na progu — wszystko na stole!

Teobald puścił teraz rękę Idy, aby jej podać ramię i poprowadzić do jadalni, ale ona uciekła, gdy tylko puścił jej rękę.

Teobald chciał biec za nią, ale rozkazujący wzrok ojca powstrzymał go, więc poszedł z rodzicami do jadalni, gdzie gorąca zupa była już na talerzach.

Na skinienie pani, służąca oddaliła się.

Pani Hai postawiła synowi zupę i z zachwytem stwierdziła, że mu zupa smakowała.

— Cóżeś robił w Paryżu? — pytał papa Hai.

— Pielęgnowałem sztukę i poznawałem kraj i obyczaj — rzekł Teobald — poza tym niczego nie zaniedbywałem, aby stać się pożytecznym. Dowiadywałem się nawet o tę Desire-Saint-Cir.

— No i czegoś się dowiedział — spytała żywo pani Hai — możesz śmiało mówić, jesteśmy sami.

— Tak jest — odpowiedział aptekarz, uprzedzając odpowiedź syna, trochę rozgoryczony. — Możesz mówić, bo już jesteśmy po obiedzie. Mama miała tyle do czynienia na twoje przyjęcie, i raptem dała nam zupę, mięso i leguminę.

— Czyż to nie jest dobre jedzenie? — spytała pani Hai oburzona — Adolf, Adolf, obawiam się, że grzeszne pożądania pojawiają się u ciebie. Jeżeli masz zamiar na stare lata stać się smakoszem, to ci z góry powiadam, że ci się to nie uda, bo ja się na to nie zgodzę.

— Może mi będzie wreszcie wolno we własnym domu gębę otworzyć? — — wrzasnął oburzony aptekarz.

Na miłość Boską — prosiła pani Hai zatrwożona — błagam cię, nie podnoś głosu, bo doktor może nadejść i podsłuchać.

— Czy kto jest chory? — spytał Leobald.

— Tak jest, markiz de Lorme, jest chory i przebywa u nas.

— Czy być może? Arnold de Lorme? Tu pod waszym dachem?

— Tak jest — odpowiedziała pani Hai — i opowiedziała mu w krótkich słowach, jak to się stało, że markiz dostał się do jej domu.

— Wie mama, że moglibyśmy teraz zrobić coś doskonałego.

— Jakim sposobem? — spytała pani Hai.

— Mama ma paszport tej Francuzki? — spytał przyciszonym głosem.

— Tak jest — odpowiedziała — przed 17 laty pisałam do hrabiego Wildensteina, aby kupił, ale on nie raczył nawet odpowiedzieć.

— Bo uważał to za wyzysk — odpowiedział Teobald.

Nikt z ich rodziny nie domyślił się nawet, że hrabia Ernest tak bliski śmierci, powrócił do zdrowia i nawet ożenił się.

Gdyby mama była miała akt ślubny, to zupełnie co innego.

— Nigdym tego nie widziała u niej — odparła pani Hai — chociaż rzeczy jej przeszukałam bardzo starannie. Musiała go nosić zawsze pszy sobie.

— I co się z nią stało? — spytał Teobald.

— Nie wiem — odpowiedziała pani Hai obojętnie. W styczniu 1877 wyjechała i znikła. Musiała być oszustką, bo Idy matka pisała do niej do Wildensteinu i list wrócił stamtąd z dopiskiem, że hrabina Desirée Wildenstein nie egzystuje. Daliśmy się oszukać.

— Mylisz się — odrzekł Teobald — ona była prawowitą małżonkę hrabiego Wildensteina.

Gadasz na wiatr nie mając dowodów, dorzucił aptekarz, którego irytowało, że nie należy do rozmowy.

Wcale nie, zapewniał Teobald — przypadkiem poznałem pannę Ewelinę du Pont.

— Acha, przypadkiem! — próbował go naciągać ojciec — i cóż ta panna Ewelina przyjęła cię naturalnie.

— Ależ ojcze, ona mogłaby być moją babką. Jest to krewna markiza de Lorme i od niej dowiedziałem się bardzo zajmujących rzeczy.

— No, opowiadaj — prosiła matka.

— Przyszedłem do niej pewnego dnia dość wcześnie i dowiedziałem się, że już u niej ktoś był przede mną. Nawiasem mówiąc, bywa u niej cały elegancki świat. Otóż spytała mnie, czy nie znam jakiejś Desirée Saint-Cir.

— Czy się dziś na mnie wszystko sprzysięgło — zawołał wtedy — przed chwilą był to mój siostrzeniec Arnold de Lorme i gwałtem domagał się wiadomości o niej. Gdyby ona wiedziała, że tak się o nią dowiadują, z pewnością by się zaraz zjawiła, tym więcej, że Arnold ma dla niej wielki spadek.

— A co nam z tego — mruknął aptekarz ciągle w złym humorze, — chociażby ona nawet została milionerką, to nam z tego nie przypadnie ani centa.

To zależy od nas — zapewniał Teobald.

— Nie gadaj głupstw, jakim sposobem? — złościł się stary.

— Powiemy, że Ida jest jej córką.

— Wtedy Ida będzie miała jej pieniądze — odpowiedziała pani Hai — a my nie.

— A ja się z nią ożenię i pieniądze będą moje.

— A jeżeli ona ciebie nie zechce? — spytała pani Hai.

— Wtedy znajdę środki, aby ją do tego zmusić — odpowiedział ze złym i chytrym uśmiechem.

ROZDZIAŁ LXXX.

Fatalny przypadek

Mistrz Gellini skończywszy lekcje, poszedł do swego pokoju, ale wspaniale urządzony pokój był pusty i oczy mistrza pobiegły dalej.

Zapukał lekko do drzwi następnych, a nie otrzymawszy odpowiedzi, otworzył je.

Był to pokój kobiecy. Jasne tapety na srebrzystym tle miały porozrzucane pączki róż. Piękne meble były okryte jedwabiem. Na ścianach były niezliczone, ale bardzo piękne obrazy, w kącie kosz kwiatów egzotycznych, pozłacana klatka z kanarkiem, małe zgrabniutkie biureczko i zgrabna półka na książki, uzupełniała urządzenie.

Mistrz zawołał na Hortensję, ale ta nie pokazała się.

Gellini z westchnieniem wrócił do siebie i zadzwonił na służącego.

— Gdzie signora? — spytał.

— Wyszła, ale zaraz wróci — dodał Luigi, zobaczywszy zmarszczone brwi pana.

Na skinienie jego wyszedł z pokoju. Gellini zamyślił się.

Od czasu, jak odnalazł córkę i usłał jej pod swoim dachem gniazdko, życie dla tego starca nabrało nowego uroku.

Hortensja zaś, ze wzruszeniem i zaparciem się siebie, tłumiła swój ból i usiłowała ojcu uprzyjemnić życie.

Po kilku dniach wspólnego pobytu, obecność jej stała mu się niezbędną.

Znajomym, którzy go odwiedzali przedstawiał ją jako swą siostrzenicę, nie chcąc zdradzać jej pochodzenia, a miał tak dobrą opinię, że nie podejrzywał nikt nic złego w jego stosunku do tej młodej i pięknej kobiety.

Wnet odkrył brak jej wykształcenia i usiłował je uzupełnić w godzinach wieczornych. Uczył ją po włosku i po francusku, a przede wszystkim rozwijał jej talent muzyczny i wychowywał jej duszę.

Hortensja zaś byłaby się czuła szczęśliwą pod jego ojcowską opieką, gdyby nie to, że wciąż ją gryzła niewierność Leona.

Co wieczora, gdy jeszcze mistrz był zajęty, wymykała się do starego mieszkania, za które jej ojciec płacił regularnie i pytała, czy nie ma wiadomości od męża.

Gospodyni odpowiadała zawsze obojętnie:

— Nie, nikt się o panią nie pytał.

Wtedy czym prędzej tłumiła łzy i szybko wchodziła na górę, by ukryć wzruszenie.

Dopiero samotnie, w cichym mieszkanku oddawała się swemu bólowi.

Tu każdy kąt przypominał jej ukochanego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

9) **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

— Nie — nie jestem w przejeździe. Przyjechałam do Berlina, by cię poprosić o użyczenie mi chwilowej gościny.

— Gościny? Pani Szarlotta znów przyłożyła do oczu lornetkę.

— Jak to mam rozumieć? Chyba nie jesteś w Berlinie sama bez towarzystwa?

— Owszem, jestem całkiem sama, a przyjechałam bez wiedzy mojego opiekuna. Muszę ci od razu wszystko powiedzieć, byś mnie zrozumiała. Otóż wuj Wendenburg oświadczył się o moją rękę, a ponieważ nie mogę zostać jego żoną, więc wyjechałam potajemnie. Nie widziałam innego wyjścia. Proszę cię, pozwól mi zamieszkać u ciebie, dopóki nie znajdę jakiegoś zajęcia.

Pani Szarlotta załamała ręce w bezgranicznym osłupieniu.

— Wielki Boże! Podobny brak zastanowienia! Odmówić Wendenburgowi, człowiekowi o książęcej fortunie... Czy kto słyszał coś podobnego! Szukać zajęcia, gdy można prowadzić życie wielkiej damy, ba, udzielnej księżny?

Zaśmiała się szyderczo, po czym dodała:

— Na Boga! Chyba przez taką głupotę nie zechcesz zniszczyć sobie szczęścia! Pomyśl tylko, co cię czeka, jako żonę Wendenburga... Mogłabyś prowadzić życie wśród dostatków, używać wszelkich rozkoszy rozkazywać, zamiast służyć! A co dopiero mogłabyś zrobić dla swojej nieszczęśliwej matki! No, nie siedźże z tą kamienną twarzą! Podobny brak trzeźwego rozsądku. Taki sentymentalizm. To odziedziczyłaś po swoim ojcu. W ogóle jesteś do niego całkiem podobna. O Boże, jakże się wzburzyłam! Jak mogłaś postąpić tak idiotycznie! Oczywista, dotąd opływałaś we wszystko, więc nie możesz mieć pojęcia, co to znaczy walka o chleb. Ot, spójrz na mnie, na moje otoczenie... A lada chwila gospodyni wyrzuci mnie na bruk, bo nie mogę jej zapłacić czynszu. Bądź rozsądna, wróć najbliższym pociągiem do Wendenburga i proś go o przebaczenie. Innej rady udzielić ci nie mogę. I jestem przekonana, że będziesz mi wdzięczna za nią, gdy się lepiej zastanowisz.

Zamilkła wyczerpana tym potokiem słów, wyrzuconych z irytacją.

Poważnymi oczyma Ewa spojrzała w zdenerwowaną twarz matki.

— Zastanowiłam się już dokładnie i nie wrócę. Czy sądzisz, że byłabym uciekła jak niewdzięcznica, gdyby istniała dla mnie jakakolwiek możność pozostania w domu, gdzie spędziłam tyle dobrych chwil?

— Idiotyzm, mrzonki naiwnej fantastki! Biedna dziewczyna nie ucieka, gdy nadarza się jej los tak świetny! Powtarzam: ja nie pozwolę na podobne szaleństwo. Natychmiast zadepeszuję do Wendenburga, że jesteś u mnie i wrócisz niebawem. Najlepiej, by sam przyjechał tu po ciebie. Niewątpliwie będzie mi wdzięczny, że ci przemówiłam do rozumu.

— Możesz sobie zaoszczędzić zbytecznego trudu. Wuj wie, że jestem u ciebie.

— Zawiadomiłeś go tym?

— Tak, poinformowałam go najdokładniej o wszystkim, co wpłynęło na moją decyzję, i on sam nie będzie żądał, bym wróciła.

— Wielki Boże! Cóż zrobiłaś takiego, że on sam nie będzie tego żądał?

— Nic nie zrobiłam. Napisałam mu tylko, że nie mogę wyjść za niego i że do ciebie zwrócę się o chwilowe użyczenie mi opieki.

Szarlotta Grabow zerwała się i w najwyższym wzburzeniu zaczęła biegać po pokoju.

— Toś mi się dopiero przysłużyła! Wspaniale, nadzwyczajnie! Rozumie się, że mnie przyjdzie za to odpokutować. I właśnie teraz, gdy jestem w położeniu rozpaczliwym i w tych dniach zamierzałam poprosić go o pomoc. Rozumie się, że teraz odmówi mi z całą pewnością.

— Mamo, chyba znów nie zechcesz go prosić o jałmużnę? — wykrzyknęła Ewa przerażona.

Szarlotta wzruszyła ramionami.

— Czemu nie? Na to się ma bogatych krewnych. Wendenburg był kuzynem twego ojca. Och, proszę cię, daruj sobie górnolotne frazesy. Moje stosunki nie pozwalają mi bawić się w wielką damę. Jestem bez grosza i nie wiem, z czego będę żyć dziś i jutro, bo gospodyni nie chce mi już kredytować, zwłaszcza, że zalegam też z czynszem. Przecież ty, wychowana w dostatkach, nie masz wyobrażenia, jak ciężko muszę się borykać z losem. Gdybyś była wyszła za Wendenburga, niewątpliwie byłby mi dopomógł! O Boże, Boże, tyle się ma od własnego dziecka! Nie, nie, ja na to pozwolić nie mogę... Powiadam ci raz jeszcze: wracaj do Wendenburga.

— Nie, matko, tego nie zrobię — brzmiała stanowcza odpowiedź.

Szarlotta cofnęła ją gniewnie:

— Nie nazywaj mnie przynajmniej matką! Gdyby tak ktoś usłyszał! Powinnaś chyba wiedzieć, że jako aktorka do ról salonowych, musiałabym się raz na zawsze pożegnać ze sceną, gdyby się dowiedziano, że mam dorosłą córkę. I tak już od szeregu tygodni jestem bez engagement i muszę dbać o to, by wyglądać możliwie młodo. Właśnie! Tego mi tylko brakuje, by się rozniosło, że jesteś moją córką.

Ewa czuła, że oddech zamiera jej w piersi. Było jej dostatecznie trudno kobietę tę nazywać matką, ale ten brak wszelkich uczuć macierzyńskich przejmował ją grozą. Najchętniej byłaby się zerwała i uciekła, dokądby ją oczy poniosły, by tylko nie pozostawać w jej pobliżu. Dokąd jednak się udać? Trudno, musi pozostać, chociażby się miała jeszcze bardziej upokorzyć. Nie łudziła się nigdy, nie marzyła o żadnej czułości ze strony matki, ale rzeczywistość okazała się gorszą od wszelkich obaw.

— Jeśli sobie nie życzysz, to mogę nie nazywać cię matką. Rozmówmy się teraz spokojnie i rozsądnie. Mam kilkaset marek, sądzę, że kwota ta wystarczy na kilkutygodniowe utrzymanie twoje i moje. Tymczasem znajdę prawdopodobnie pracę zarobkową. Przyrzekam ci zresztą, że sama napiszę do wuja i poproszę go, by ci pomagał, zanim znajdziesz zajęcie.

Szarlotta zaśmiała się szydersko.

— Wielbiciel odpalony nie zechce być wspaniałomyślny.

Twarz Ewy okryła się lekkim rumieńcem.

— Wuj jest człowiekiem szlachetnym, którego nie możesz mierzyć zwykłą miarą.

— I mimo to uciekłaś od niego!

— Tak, mimo to. Z tego możesz wywnioskować, że musiałam mieć powody, nie dające się usunąć.

Szarlotta z ciężkim westchnieniem opadła na fotel. Wzmianka Ewy, że posiada kilkaset marek, uśmierzyła jej wzburzenie. Zastanawiała się, jakby z tej sytuacji największą odnieść korzyść. Wahała się jeszcze co do sposobu, w jaki to uczyni. Przez lornetkę przyglądała się córce od stóp do głowy.

— Jesteś skończoną pięknością i właśnie w rodzaju, który mężczyzn najbardziej pociąga. Wendenburg dowiódł, że ma dobry gust.

Ewa ściągnęła brwi i oblała się krwawym rumieńcem.

— Och, dajże spokój. Dla mnie ta piękność będzie raczej przeszkodą niż pomocą w znalezieniu uczciwej pracy.

Szarlotta potrząsnęła głową z wyrazem politowania.

— Widzę, że masz poglądy zgoła przestarzałe. Dla mądrej kobiety piękność jest zawsze pomocą. Dobrze, możemy o tym nie mówić, skoro ci to sprawia przykrość. Na razie ważniejsze to, ile masz pieniędzy.

— Trzysta marek.

— Hm, kwota mizerna dla osoby, przybywającej z domu milionera. Nie umiałaś, jak widzę, wyzyskać sytuacji. Ostatecznie lepiej tyle, niż nic. Daj mi, proszę, sto marek, bym zapłaciła gospodyni. Muszę ją udobruchać, to może pozwoli, byś na razie mieszkała ze mną.

— Więc mnie przyjmiesz? — cicho spytała Ewa.

Szarlotta westchnęła z wyrazem rezygnacji. W międzyczasie przełożyła sobie, że jeśli się jej uda przemówić Ewie do rozumu, Wendenburg będzie jej zobowiązany i odpowiednio się zrewanżuje. W przeciwnym razie, w inny sposób spróbuje wyciągnąć korzyść z niezwykłej urody córki. Och, w kołach bogatych hulaków ten jej dziewiczy czar i anielskość mogą właśnie przyciągnąć swą niezwykłością. Kto wie, może i tu złapać bogatego męża, czy przyjaciela. W każdym razie przezorność każe się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy i rozpocząć grę na dwa tuzy.

— Nie mogę cię przecież wypędzić, skoro żadną miarą nie chcesz wracać. Zastanowimy się jeszcze nad tą sprawą. Tymczasem daj mi trochę pieniędzy — muszę też posłać po coś do zjedzenia. Zapewne jesteś głodna po podróży, a ja od rana także nic nie miałam w ustach.

Ewa podała jej stumarkówkę, co Szarlottę od razu wprawiło w lepszy humor. Zrobiła kilka dowcipów o niespodzianym ukazaniu się Ewy, po czym otworzyła drzwi do przedpokoju i zawołała:

— Pani Kruze!

Gospodyni weszła z posępną twarzą, a Szarlotta zwróciła się do niej z wyniosłą miną damy salonowej, którą tak często grywała na scenie.

— Ach, pani Kruze! Musi pani przynieść kolację z restauracji dla mnie i dla mojej... bratanicy. I proszę sobie od razu potrącić należytość za czynsz i inne wydatki.

Gospodyni szybko się rozpogodziła na widok banknotu, a oczy jej z wyrazem wdzięczności pobiegły ku Ewie. Domyśliła się oczywista, że ona to zasiliła finanse jej lokatorki. Skromna a wytworna toaleta Ewy od razu jej zaimponowała. Wynajmując od lat umeblowane pokoje, umiała odróżnić solidny strój od tandetnego sztychu.

Z poszanowaniem podniosła z podłogi torbę podróżną Ewy i umieściła ją na krześle, z rozkoszą wciągnęła nozdrzami przyjemną woń prawdziwej skóry i pieszczotliwie przesunęła po niej ręką.

— To co innego niż tanie imitacje z ceraty czy tektury! — rzekła tonem uznania, po czym zwróciła się ku drzwiom.

Była już w progu, gdy Szarlotta przywołała ją ponownie.

— Aha, chciałam pani jeszcze powiedzieć, że moja bratanica zatrzyma się parę tygodni w Berlinie, a nie chce mieszkać sama w hotelu. Wiem, że narazie nie ma pani wolnego pokoju, a nie chciałybyśmy się rozłączać z moją krewną. Możeby pani pozwoliła jej sypiać na sofie? Rozumie się, że bratanica zapłaci odpowiednio.

Pani Kruze nigdy jeszcze nie wzgardziła dochodem nadprogramowym. To też z wielką chęcią zgodziła się na korzystną propozycję.

Przyniosła kolację na specjalne żądanie Szarlotty także buteleczkę wina. Mimo głodu, Ewa, z trudem przełknęła parę kęsów, natomiast Szarlotta spożyła wszystko z wielkim apetytem, a wypróżniwszy też butelkę wina, wpadła w najlepszy humor. Opowiadała dowcipy i „kawały" z teatru, bawiąc się nimi doskonale. Widoczne zgnębienie Ewy wcale jej nie obchodziło.

Zapadł zmrok i pani Kruze zapaliło światło. Do dziewiątej matka z córką siedziały naprzeciw siebie przy okrągłym stoliku, a Ewa, ulegając natrętnej ciekawości matki, opowiedziała jej rozmaite szczegóły swego życia w domu opiekuna. Szarlotta przysłuchiwała się uważnie, by na tej podstawie osnuć dalszy plan postępowania.

Oczy jej bacznie obserwowały twarz Ewy. Nagle zerwała się i zaczęła wyjmować szpilki z fryzury dziewczyny.

— Czy to własne włosy? — spytała gorączkowo.

Ewa mimowoli cofnęła głowę. Dotyk tych drżących rąk sprawiał jej przykrość.

— Jak to rozumiesz?

— Taka obfitość włosów jest zawsze podejrzana. Ale musiałaś też zapłacić bajońskie sumy. Kolor ogromnie rzadki i trudny do osiągnięcia — znam się na tym. Ale gatunek pierwszorzędny, trudno wprost odróżnić od własnych włosów.

Ewa przyszpiliła rozluźnione warkocze.

— Przecież to moje włosy — rzekła, rumieniąc się z oburzenia.

Szarlotta się zaśmiała, fałszywie tłumacząc sobie ten rumieniec.

— Co za naiwne stworzenie! Przede mną nie potrzebujesz chyba robić tajemnicy. Prawie wszystkie panie, ja także, mamy włosy przypinane.

Ewa wyjęła szpilki z włosów, a bujne warkocze spłynęły jej wzdłuż pleców.

Szarlotta klasnęła w dłonie z podziwu.

— Istotnie! Ależ dziewczyno, ty sobie nie zdajesz sprawy ze swojej urody. Poczekaj tylko, ja ci upnę te włosy tak, by każdy widział, że to własne.

Wprawnymi palcami upięła jej złoto - kasztanowate warkocze dokoła głowy, stwarzając cudne obramienia dla Ewy. Ewa sama była zdumiona, zobaczywszy swe odbicie w podsuniętym jej zwierciadełku Szarlotty.

— Teraz jesteś skończoną pięknością! Zrobisz furorę swym wyglądem. Już widzę otaczający nas rój wielbicieli. Poczekaj chwileczkę. Zaraz się ubiorę i wyjdziemy. Jak najprędzej pragnę cię zapoznać z moimi znajomymi.

Ewa spojrzała na nią zdumiona.

— Co, jeszcze dzisiaj? Dwie panie w wieczór, bez opieki?

Szarlotta parsknęła śmiechem.

— Głuptasku, jak to znać, że przybywasz z prowincji! W Berlinie panują inne poglądy i zwyczaje. Zresztą, jeśli ci chodzi o opiekę, to spotkam znajomych panów, którzy z rozkoszą zaopiekują się nami.

— Wolałabym jednak zostać w domu i wypocząć. Czuję się strasznie znużona.

Szarlotta w pierwszej chwili doznała rozczarowania, wnet się jednak uspokoiła. Ostatecznie będzie lepiej przygotować znajomych przed ukazaniem się Ewy.

— Niechże będzie. Odłożymy twój pierwszy występ do jutra. Ale mnie musisz usprawiedliwić, ponieważ ułożyłam się ze znajomymi i nie mogę im robić zawodu. Połóż się zatem i wypocznij. Być może, że wrócę późno — w Berlinie dopiero o tej porze rozpoczyna się właściwe życie towarzyskie.

Ewa ze ściśniętym sercem przyglądała się matce, nakładającej na twarz najrozmaitrze szminki. Szarlotta upięła na głowie peruczkę, zdjęła ją, przymierzyła inną i znów wróciła do poprzedniej. Wreszcie włożyła suknię z czarnego tiulu i jedwabiu, głęboko dekoltowaną z lśniącym dżetem dokoła obnażonych ramion, obsypanych grubą warstwą pudru.

Skończywszy toaletę, z triumfującym uśmiechem stanęła przed Ewą.

— I jakże ci się podobam teraz, hm? Mogę się jeszcze pokazać między ludźmi?

Ewa patrzyła na nią osłupiałymi oczyma, a twarz jej okrywała się rumieńcem wstydu. Tak wygląda jej matka, ta uszminkowana, sztucznie się odmładzająca komediantka! Gdy Szarlotta zadowo-

lona że swego wyglądu, przeglądała się ze wszystkich stron w dużym zwierciadle, Ewa z dreszczem grozy myślała o Bernardzie. Jakie szczęście, że nie zostanie jego żoną. Mógłby się przecież spotkać przypadkowo z tą kobietą — z jej matką! To byłoby dla niej czymś strasznym, niemożliwym do zniesienia! Och, to męka nieopisana... wstydzić się własnej matki.

Szarlotta, nucąc melodię operetkową, rozkoszowała się osłupieniem Ewy, które przypisywała zachwytowi nad jej wyglądem.

— Tak, tak, jak się ubiorę, to jestem jeszcze, jak widzisz, wcale niczego... Niestety, już tylko przy sztucznym oświetleniu. To też we dnie wychodzę tylko w razie koniecznej potrzeby. A w dodatku w gęstej woalce. W wieczór i w odpowiedniej toalecie robię wrażenie trzydziestoletniej kobiety — czy nie? No, powiedz sama, czy wyglądam na twoją matkę?

— Nie, z pewnością nie — wykrztusiła Ewa, drżąc z upokorzenia.

Szarlotta uśmiechnęła się triumfująco, włożyła kapelusz, obwiesiła się imitacją klejnotów i wyszła, od drzwi rzuciwszy Ewie gest pocałunku.

Ewa odprowadziła ją szklanymi rozgorączkowanymi oczyma. Następnie otworzyła okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Przez chwilę stała przy stole zmartwiała, nagle, jakby się zapadła w sobie, ukryła głowę w ramionach wspartych na stole i głuchy jęk wypadł jej z piersi. Suche łkanie wstrząsnęło całą jej postacią — uczuła się tak strasznie samą i opuszczoną. Teraz dopiero zrozumiała w całej pełni, co zostawiła za sobą, uciekając z domu Wendenburga.

Z trawiącym bólem myślała o „willi Annie" i wspaniałym parku. Tak, w tej chwili wiedzą tam już o jej ucieczce i cierpią z tego powodu. Dla wuja będzie to cios bardzo bolesny, z którego dźwignie się niełatwo, a jednak nie mogła mu go zaoszczędzić. Gabi będzie płakać i tęsknić trochę za przybraną siostrą, a on... Bernard... nie tylko musi przezwyciężyć własne cierpienia, lecz pocieszać w dodatku narzeczoną. Ale teraz już wie, że nie sprzeniewierzyła mu się ani jedną myślą i to przywróci mu spokój. Rana będzie jeszcze palić przez pewien czas, ale ostatecznie zabliźni się pod wpływem głębokiej miłości Gabi. I znajdzie szczęście przy niej i zapomni o śnie pierwszej miłości.

Zapomni o tej miłości i o niej! Łzy niepowstrzymaną strugą popłynęły z jej oczu. W obecnym osamotnieniu myśl ta wydała się jej okrutną; nie mogła w tej chwili znaleźć pociechy w podtrzymującej ją dotąd świadomości, że spełniła ofiarę wyrzekłszy się szczęścia dla Gabi. Niespokojnymi krokami przebiegała pokój, nie mogąc odzyskać równowagi. Długo trwało, zanim się nieco uspokoiła i gorączkowo poczęła układać plany co do przyszłości. Tu pozostać nie może. Im wcześniej się wydostanie, tym lepiej. Z wszystkich ciężkich przeżyć ostatnich dni, najcięższe było to zetknięcie z matką. Rumieniec wstydu i upokorzenia oblewał jej twarz na samą myśl o tej kobiecie. Jednak los dobrze rozrządził, skazując ją na życie samotne. Czuła się jakby napiętnowaną. Nigdy, nigdy, nie oddałaby swej ręki człowiekowi kochanemu, chociażby ich nawet nie dzieliły żadne przeszkody, gdy wie, czyją jest córką. Tak, co rychlej musi się stąd wyrwać. Przyjmie zajęcie pierwsze lepsze, by tylko wydostać się z tej atmosfery szminki i teatralności. Rzuciła okiem na cały szereg fotografij matki w najfrywolniejszych pozycjach i kostiumach i szybko odwróciła się z obrzydzeniem. Nie, te podobizny, na których Szarlotta Grabow była jeszcze bardzo piękną kobietą, mogły nęcić wielbicieli, ale żadną miarą nie nadawały się do obudzenia miłości i przywiązania w sercu córki.

Dokąd ona poszła tak późną godziną? W jakim towarzystwie bawi tak długo? Jak dobrze, że nie dała się nakłonić i nie towarzyszyła jej!

Znów podeszła do otwartego okna. Zgiełk wielkomiejski dobiegał do samotnej dziewczyny. Tysiące ludzi pojedyńczo czy w grupach przebiegało we wszystkich kierunkach — każdy ku swymu celowi. Tylko ona jedna — całkiem sama i opuszczona.

Doznała ulgi, gdy drzwi skrzypnęły i weszła gospodyni z karafką świeżej wody. Miała teraz twarz pogodniejszą niż poprzednio, a oczy jej z wyraźnym upodobaniem i życzliwością spoczęły na Ewie.

— Pani nie wyszła? — zapytała, pragnąc nawiązać rozmowę.

— Nie, jestem zbyt zmęczona — uprzejmie odrzekła Ewa.

— Pani pewnie z daleka? — dopytywała z ciekawością.

— Tak.

— Krótka odpowiedź nie zadowoliła starej. Podeszła do Ewy.

— Jaki pani ma elegancki kostium — rzekła z podziwem. — Taki drogi materiał... A ta wspaniała jedwabna podszewka. Ciotka pani nie ma takich toalet. To wszystko tandeta teatralna. Pani chyba nie jest aktorką?

— Nie.

— Od razu to poznałam. Ja się znam na ludziach, a aktorkę poznam od pierwszego wejrzenia. Miałam rozmaite lokatorki, ale takiej jak pani nie miałam jeszcze nigdy. Pani wygląda tak, jak te prawdziwe wielkie damy z dzielnicy wielkopańskiej. Z wierzchu skromnie, ale pod spodem tiptop, wszystko na jedwabiu. Wszystkie te fatałaszki ciotki nie warte tyle, co ten jeden kostium pani.

Na twarzy Ewy wyraźnie malowała się przykrość, jaką przejmowała ją ta gadanina. Wcale też nie odpowiadała.

Pani Kruze wzruszyła ramionami i zabierała się do odejścia.

— Nie, to nie. Widzę, że pani zanadto dumna, by się wdawać w rozmowę z prostą kobietą. Dobrze, niech i tak będzie. Ale to pani mogę powiedzieć, że jestem uczciwą wdową i nie pomieniałabym się z ciotką pani, chociaż się nie maluję i nie stroję w te świecidełka teatralne. To pani może przyjąć do wiadomości.

Ewa spojrzała na nią trwożnie; wszak była teraz zależna od niej.

— Pani Kruze, ja wcale nie jestem dumna, tylko bardzo zmęczona. Proszę mi wierzyć, że nie miałam zamiaru uczynić pani przykrości.

Stara udobruchała się w oka mgnieniu. Spojrzała na Ewę badawczo, a piękne, tak bezdenne smutne oczy dziewczyny chwyciły ją za serce.

— W takim razie wszystko dobrze, wszystko dobrze. Niech się pani nie gniewa, że o cioci mówiłam może trochę uszczypliwie. Bo widzi pani, coś mi się zdaje, że to nie jest odpowiednie towarzystwo dla pani, chociaż jest krewną. I tylko z dobrego serca chciałam panią ostrzec, by się nie zadawała z jej znajomymi. Pani rozumie — prawda?

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 7 marca 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 10.30 „Słynni dyrygenci — Bruno Walter" (płyty) 12.03 Koncert rozrywkowy w wyk. katowickiego Chóru Męskiego 15.30 „Audycja dla wsi" 16.00 „Morwitan w piosence" — audycja słuchowiskowa16.30 „Pół godziny mandolin" 17.00 Koncert symfoniczny (płyty) 19.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 19.20 Koncert rozrywkowy 21.00 Słuchowisko pt. „Eksmisja" 21.30 Recital fortepianowy Lazare Levy 22.00 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego (ze Lwowa) 23.00 Melodie taneczne (płyty).

Poniedziałek, dnia 8 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Aleksander Głazunow — kompozytor i dyrygent (płyty) 12.50 „Wszystkie dzieci mają równe prawa do miłości matki" — pogadanka 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty) 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Transmisja z Filharmonii Warszawskiej fragmentu Międzynarodowego Konkursu im. Chopina 17.00 Wiedza społeczna a życie społeczne: „Trzeba poznać rzeczywistość" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „O fotografii w promieniach niewidzialnych" — pogadanka 18.50 „Kółka rolnicze na przedwiośniu" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 „Poeta i publiczność" — wieczór literacki 21.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Melodie taneczne (płyty).

Wtorek, dnia 9 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. Teodora Rydera 15.15 Wiązanki i pieśni operetkowe (płyty) 16.30 „Pieśni w dialogu" 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.15 Recital fortepianowy Haliny Sembrat 17.50 „List pensjonarki" — monolog Tadeusza Hollendra 18.10 „Sport w miastach i miasteczkach" — pogadanka 19.00 „Dyskutujmy" „Czy programy szkolne dla chłopców i dziewcząt powinny być jednakowe" 19.20 „Jak się polka z polonezem biła" — audycja muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny ze Lwowa i Poznania 22.30 „Lutnia Puszkina" — kwadrans przekładów Juliana Tuwima 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 10 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Utwory Fryderyka Deliusa (płyty) 12.50 „Przy balii" — pogadanka 15.15 Mała Orkiestra Polskiego Radia 16.10 „Gdy wielcy ludzie byli mali": „Portret pana Hilarego" obrazek słuchowiskowy z dzieciństwa Jana Matejki 16.35 Koncert w wyk. chóru męskiego „Hasło" KPW. 17.00 „Walka ze szpiegostwem" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „Rozmowa ze Stanisławem Witkiewiczem" — wywiad fikcyjny 18.50 „Dość pstrokacizny" — pogadanka 19.00 „Akademik Smorgoński"— opowiadanie Juliana Ejsmonda 19.20 Motywy hiszpańskie w muzyce francuskiej (płyty) 19.55 Koncert zespołu Almar i Otten 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Angeliki Morales 21.30 Z twórczości kantatowej J. S. Bacha (z Wilna) 22.15 Mała Orkiestra Polskiego Radia 23.00 Melodie taneczne (płyty).

Czwartek, dnia 11 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej PR. 16.20 „Marzec" — pogadanka dla dzieci starszych 16.35 Muzyka dla dzieci (płyty) 17.05 „Dzieci krzywdzone" — odczyt 17.20 Koncert kameralny 17.50 „Książka i wiedza": O książce Zischki „Japonia" 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Prometeusz skowany" 19.55 Koncert rozrywkowy (z Wilna) 21.00 Transmisja z Filharmonii Warszawskiej finału III Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina 23.00 Muzyka lekka (płyty).

Piątek, dnia 12 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert orkiestry mandolinistów im. Moniuszki z Wełnowa 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty) 16.15 Rozmowa z chorymi ks. kapelana M. Rękasa 16.30 Wiązanki melodyj filmowych (płyty) 17.00 „Z sieciami na morze" — felieton 17.15 Franciszek Schubert: Trio Es-dur op. 100 17.50 „Encyklopedia mówiona" 19.00 „Emigrant" — epizod z noweli 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 „Obój, rożek i fagot" — pogadanka. 20.00 Transmisja z Filharmonii Warszawskiej finału III Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina ok. 22.00 „Kaprys kobiety" — skecz.

Sobota, dnia 13 marca 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Muzyka włoska 14.30 Wesoła audycja dla dzieci 15.15 Koncert rozrywkowy (płyty) 16.15 Z utworów Adolfa Adama 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków zz agranicy 19.30 „Wiosna w Italii" — audycja muzyczna 21.00 Koncert wieczorny 22.00 „Lekarz pod nożem" — antologia tekstów satyrycznych.

HUMOR

Wytłumaczył

Kupiec „W młodości byłem także podróżującym, ale nigdy nie byłbym się odważył wejść do interesu z papierosem"!

„Tak? To pan zapewne odwiedzał lepszą klientelę niż ja".

Nieporozumienie

W kawiarni siedzi jakaś starsza pani, która namiętnie „pożera" dzienniki i tygodniki ilustrowane. Skonsumowawszy już kilka, ogląda się za innymi i wołając kelnera, mówi:

— Prosiłabym o pismo „Młodość".

Kelner odpowiada:

— „Młodość" jest za panią.

Nowoczesne dziecko

Czteroletni Józio był niegrzeczny i dostał ojcowskie, czynne napomnienie. Pomimo jednak, że go bolało bardzo, Józio się nie rozpłakał, lecz zniósł ciosy z zaciśniętymi ustami. Dumna z tego mama mówi do ojca:

— Pomimo wszystko, tęgi charakter będzie z tego chłopca.

Na to Józio odzywa się ze złością:

— Ja nie będę żaden charakter — ja będę szofer!

Porada lekarska

Po zbadaniu pacjentki lekarz zaleca:

— Niech pani częściej przebywa na świeżym powietrzu niech pani kąpie się w zimnej wodzie i niech pani się ciepło ubiera.

Po powrocie do domu na zapytanie męża, co jej zapisał doktór, pacjentka mówi:

— Kazał dużo podróżować autem. Kazał jechać nad morze i kąpać się i kazał kupić lisa na szyję...

W szkole

Profesor historii naturalnej z zapałem wykazuje młodym uczniakom, jak to wszystko w przyrodzie jest niesłychanie rozumnie i celowo urządzone — po czym, chcąc, aby któryś z uczniów samodzielnie dodał jakiś żywy przykład takiego urządzenia, — zapytuje:

— Który z was mi powie na przykład, dlaczego łabędź ma taką długą szyję?

Jeden z uczniów się zgłasza:

— Ja wiem, panie profesorze — ażeby podczas powodzi nie utonął!...

Filozof

Milifker, który wkłada kołnierzyk i spostrzega, że ten ma za mały numer, mówi:

— Kołnierzyki są zupełnie jak kobiety. Dopiero kiedy człowiek ma je na karku, spostrzega — jaki to numer...

Wytłumaczył

Franuś przyszedł z matką do cioci na wizytę. Przy jedzeniu ciotka poczęstowała go jajkiem. Chłopczyk rozłupał skorupkę i odłożył jajko na bok. Ciocia jest dotknięta:

— Dlaczego nie jesz jajeczka, Franku?

— Bo nie lubię.

— Co to znaczy: „nie lubię"? Ja w twoim wieku często dostawałam i chętnie jadłam jajko na podwieczorek.

— Bardzo możliwe, bo wtedy to jajko było jeszcze świeże!...

W dziecinnym pokoju

Basia: — Wiesz w co się będziemy teraz bawili?

Jędruś: — W co?

Basia. — W ogród zoologiczny. Ja będę małpką, a ty będziesz mnie karmił ciastkiem.

Przed ślubem

Narzeczony do małego braciszka swej przyszłej żony:

— No i co ty powiesz, Kaziku, na to, że ci zabieram siostrzyczkę.

— Powiem „Chwała Bogu!"

Mądry uczeń

— Gapiewicz, powiedz mi, co to są kannibale?

— Nie wiem, panie profesorze.

— Jakto nie wiesz? Przypomnij sobie przecież. Jeślibyś ty na przykład zjadł swego ojca i swoją matkę, czym byłbyś wtedy?

— Sierotą, panie profesorze!

U dentysty

W gabinecie dentysty zjawia się pacjent. Krótka rozmowa, brzęk instrumentów gotujących się w wodzie.

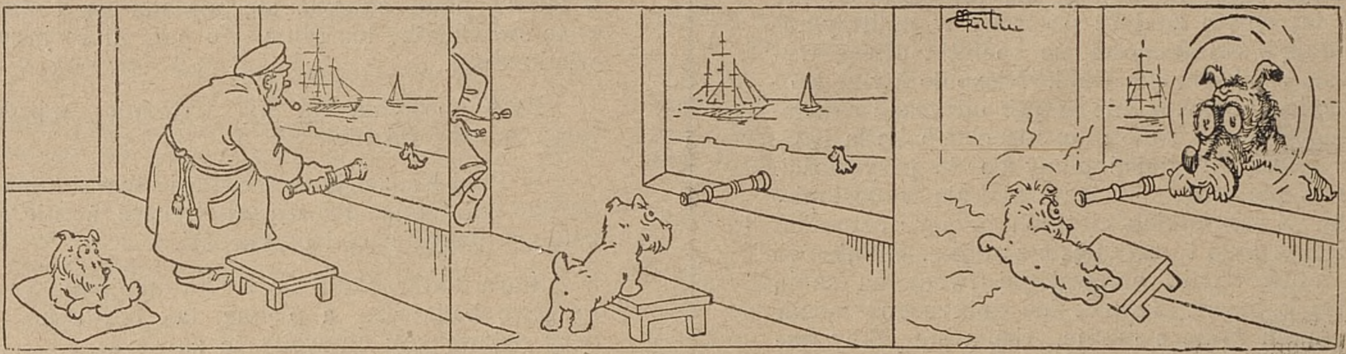
Lekarz zbliża się do pacjenta, mówiąc: — Proszę otworzyć usta.

W tejże chwili gość zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć.

— Panie, co panu się stało? Przecież nawet nie dotknąłem pańskiego zęba.

— Tak — powiada pacjent zbolałym głosem — ale za to pan doktór stanął mi na odcisku.

Marynarz i jego pies



Stary wilk morski popatrzył jeszcze raz na swój okręt, odłożył lunetę i odszedł... Oczywiście jego mądry piesek próbuje również zobaczyć świat... przez szkło. Lecz to, co zobaczył, tak go przeraziło, że zwiał czempręndzej.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie